

STANISŁAW LACHOWSKI

Z ŁOMŻY DO STONEHAVEN
BEZ BILETU

STONEHAVEN 1992



Stanisław Lachowski

Rzym, Włochy 1944

S p i s t r e ś c i

	Strona
I - 20-ty czerwca 1941 r.....	1
II - Kara-Tu - Saj	6
III- Amu-daria	16
IV - Tockoje - Szachryziabz	41
V - Pahlavi - Neapol	58
VI - Neapol - Stonehaven	92

Załączniki

20-ty czerwca 1941 r.

Na pewno wielu ludzi w Łomży pamięta do dziś dzień 20-go czerwca 1941 roku. Był to dzień radzieckiego gwałtu i terroru na obywatelach Łomży i okolicy.

W tym dniu nad ranem ojciec obudził mnie dwoma słowami: "Zabierają nas". Oczywiście wiedziałem co to znaczy. N K W D było wszędzie. Wokoło domu i w domu. "Macie dwie godziny do spakowania się" powiedzieli. Po załadowaniu pościeli, ubrań i żywności na wóz enkawudzista doprowadził nas do dworca kolejowego w Łomży. Łańcuch wagonów towarowych, strzeżony przez uzbrojonych enkawudzistów i otoczony przez żołnierzy radzieckich w pełnym uzbrojeniu, stał na bocznej linii. Gdy drzwi wagonu, do którego nas doprowadzono, zostały rozsunięte okazało się, że były już tam 3 rodziny z Tarnowa.

Rodzina Wasilewskich zajęła dolną półkę po prawej stronie, a rodzina Sawickich górną nad Wasilewskimi. Rodzina Janczewskich zajęła dolną półkę po lewej stronie, a rodzina Lachowskich górną nad Janczewskimi. Moja rodzina składała się z 7 osób : ojciec Edward Lachowski lat 61, macocha Waleria Lachowska lat 59, młodsza siostra Irena Lachowska lat 19, moja bratowa Leokadia Lachowska lat 31 i jej dzieci: Danuta lat 5 i Andrzej Edward lat 3 oraz ja Stanisław Lachowski lat 21. Dla ojca ta podróż do Rosji była w rzeczywistości już drugą deportacją. Pierwszy raz był wywieziony z moją matką Józefą z Jakubiaków Lachowską w roku 1914. Najstarszy brat Czesław Lachowski urodził się "gdzieś" w Rosji na wozie 25-go grudnia 1914 roku.

Czesław Lachowski, mąż Leokadii, a ojciec Danusi i Andrzeja

zginął w czasie bombardowania Warszawy przez Niemców we wrześniu 1939 roku. Starsza siostra Janina Lachowska wyszła za mąż za Aleksandra Kurpiewskiego z Uśnika, który w stopniu kaprała Korpusu Ochrony Pogranicza dostał się do niewoli niemieckiej we wrześniu 1939 roku. Starszy brat Kazimierz Lachowski, aresztowany przez N K W D w roku 1940, w dniu naszej deportacji, był wciąż w więzieniu w Łomży. Został uwolniony przez Niemców, gdy Łomża została zajęta przez nich zaraz po naszym wyjeździe.

Przez całe popołudnie wielu ludzi przychodziło do pociągu i odchodziło żegnając krewnych, przyjaciół lub nawet członków rodziny, którzy nie byli na liście deportacji. Przyszła również, moja ówczesna miłość Wanda Kozłowska. Z odległości kilku metrów odczytałem to, co jej usta bezdźwięcznie mówiły.

Mąż Zofii Wasilewskiej, Chełstowski mieszkał poza Tarnowem i nie był na liście deportowanych. Przybył z lekarstwem dla niej. Prosił usilnie N K W D aby go również zabrali. Powiedzieli mu: "W Sowieckim Sojuszu jest dużo mężów ... ona ciebie nie będzie potrzebowała".

Noc przeszła spokojnie. Prawie nikt nie spał z wyjątkiem dzieci. W wagonie były cztery małe okna bez szyb, jednak miały szeroką sztabę metalową. Przy drzwiach drugiej strony wagonu był sedes z zasłoną i dziurą w podłodze. Rano, to jest 21-go czerwca, przed naszym odjazdem, rozeszła się wieść, że Niemcy zaatakowali Związek Radziecki. Pociąg zatrzymał się na kilka godzin w Śniadowie na boczniczy. Dużo pociągów przejechało na wschód. Mieliśmy nadzieję, że może nas zostawią, a wyzwolą Niemcy. Niestety nie. Następny dłuższy postój był w Wołkowysku. Było późne popołudnie. Nagle niemieckie samoloty zaczęły bombardować Wołkowysk. Radziecka artyleria przeciwlotnicza otworzyła ogień. Spadające szrapnele artylerii przerażającym gwizdem i u-

derzaniem w dachy wagonów powodowały panikę. Bratowa Leokadia Lachowska chwyciła odruchowo córkę Danusię i małego synka Andrzeja Edwarda /nazywaliśmy go Edkiem/ pod siebie, by swoim ciałem ochronić ich. Dzieci Sawickich i Janozewskich uderzyły w krzyk. Po odlocie niemieckich samolotów wyjrzałem przez okno i zobaczyłem zniszczony most drogowy na małej rzece. Nadzieja, że most kolejowy może być również zniszczony okazała się złudna, bo pociąg ruszył wkrótce..

Kolejny dłuższy przystanek miał miejsce 23-go czerwca. Pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacji. Drzwi wagonu zostały otwarte przez uzbrojonego żołnierza, który rozkazał żeby przygotować po jednym wiadrze dla rodziny na zupę. Była to pierwsza gorąca potrawa w czwartym dniu naszej podróży.

Następny dzień, 24-ty czerwca, dzień św.Jana zapisał się w mojej pamięci na zawsze.Zaczął się bardzo pięknie. Ojciec, Edward Lachowski, siedząc przy oknie nagle krzyknął:"Jedziemy na południowy wschód, a nie do Archangielska ..".Samopoczucie w wagonie zmieniło się od razu na lepsze. Cztery rodziny zaczęły rozmawiać ze sobą. Ojciec stał się wszystko wiedzącym wieszczem. W południe pociąg zatrzymał się. Drzwi zostały otwarte i żołnierz rozkazał by jedna osoba z rodziny wyszła z wiadrzem z wagonu.Wziąłem wiadro i zeskoczyłem z wagonu. Pociąg był dłuższy niż peron. Zdziwiło mnie bardzo,gdy żołnierz powiedział że bym szedł w kierunku stacji. Sam zostałem przy wagonie.W drodze powrotnej, przechodząc koło kępy brzeziny, przypomniały mi się ostatnie Świętojanki w Ostrołęce, gdzie otrzymałem świadectwo małej matury w gimnazjum im.Stanisława Leszczyńskiego w czerwcu 1939 roku. Z myślą poprawienia nastroju i upamiętnienia dnia św. Jana, ułamałem kilka gałęzi by przybrać nasz wagon. Rzeczywiście, po spożyciu zupy i po udekorowaniu wagonu, uczucie bezna-

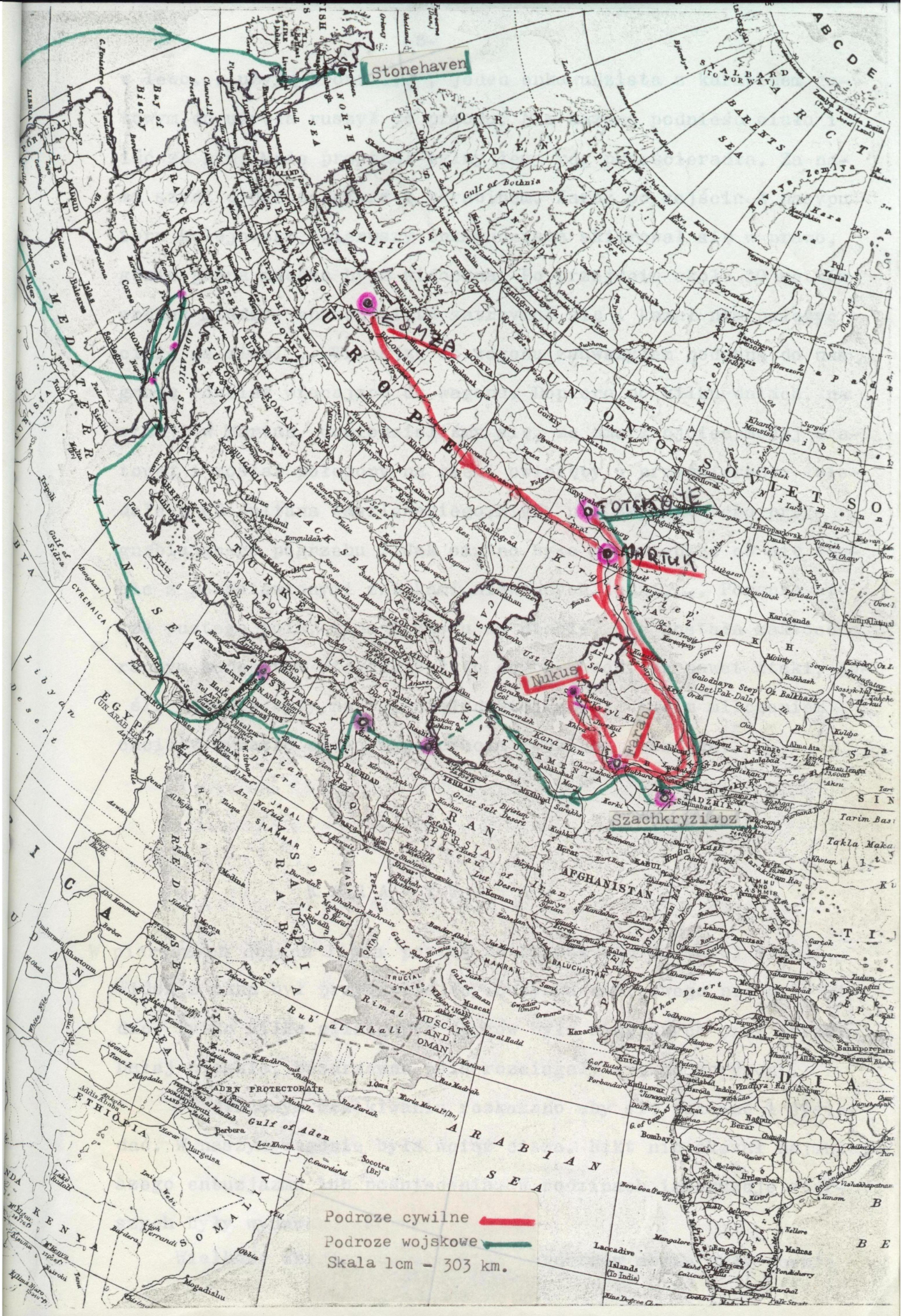
dziejności pomалу zaczęło zanikać. W czasie każdego postoju odbywała się wymiana nazwisk z wagonami przed nami i za nami. W ten sposób Leokadia Lachowska dowiedziała się, że w jednym z wagonów przed nami są jej rodzice Żelaźni ze Starych Kupisk, siostra Irena Ochman z dzieckiem i bratowa Anna, żona Jana Żelaznego z trzema chłopcami.

Julian Wasilewski, ojciec Zofii, Czesława, Stanisława i Mieczysława był to człowiek bardzo spokojny, powolny, mało mówiący, Bogu ducha winien, bardzo przyjemny. Siedział na górnej półce między rodziną Sawickich, tyłem do jadącego pociągu z nogami zwisającymi w dół. Wdał się w rozmowę, a nawet w dyskusję z moim ojcem, siedzącym na przeciwnej górnej półce; po raz pierwszy od 4-ech dni.

Warkot samolotu przerwał rozmowę, ale ani ojciec, ani Wasilewski nie zmienili pozycji. Ja natomiast przesunąłem się do okna po prawej stronie naszego wagonu. Wychyliwszy głowę, zauważyłem samolot lecący bardzo nisko od strony lokomotywy do tyłu pociągu. Widziałem również ręce ludzkie wystające z okien wzdłuż całego pociągu z białymi chustkami dając pilotowi znać, że to jest transport ludzi cywilnych. Samolot przeleciał, wzbił się do góry i zniknął z mego zasięgu widzenia. Wrócił za chwilę. Znowu bardzo nisko leciał z kierunku lokomotywy. Żołnierze, którzy w czasie pierwszego lotu schowali się pod wagony, tym razem zaczęli strzelać z ręcznych karabinów. Po krótkiej przerwie usłyszałem znowu warkot samolotu i gdy wyjrzałem z okna zobaczyłem samolot lecący z innego kierunku. Leciał od tyłu pociągu, ale nie ponad ani wzdłuż wagonów. Leciał pod kątem tak, jakby szukał żołnierzy pod wagonami, którzy strzelali do niego. Te kilka sekund wydawały się bardzo długie, ale samolot przeleciał i dzieci w wagonie przestały wrzeszczeć. Tylko Leokadia Lachowska

trzymała swoje dzieci pod przykryciem. Po chwili ciszy usłyszałem warkot samolotu i ogień jego karabinu maszynowego. Nagle nasz wagon był pełen dymu. Wydawało się, że coś się pali. Krzyk i płacz Zofii Wasilewskiej i jej matki Kunegundy skierował moją uwagę na ich dolną półkę. Gdy spojrzałem w dół zobaczyłem Juliana Wasilewskiego leżącego na podłodze - bez znaku życia. Krzyk i płacz był nie do zniesienia. Gabriel Janczewski, z półki poniżej nas chwycił coś do ręki i zaczął uderzać w lewe, północne drzwi. Jakoś udało się wybić kawałek deski i dym zaczął wychodzić na zewnątrz przez małą dziurę. Po chwili usłyszeliśmy głosy żołnierzy i drzwi zostały rozsunięte. Około dwóch metrów od toru kolejowego na ziemi leżało trzech żołnierzy z ciężkim karabinem maszynowym, załadowanym taśmą ostrej amunicji, skierowanym na drzwi naszego wagonu. Tak, w tym sowieckim piekle na ziemi wolno było spalić się żywcem, ale nie wolno nam było wyskoczyć z wagonu pełnego dymu. Do dziś nie wiem i nie mogę zrozumieć, skąd się wzięło tyle dymu w wagonie. Okazało się, że kula, która ugodziła Wasilewskiego w lewą skroń najpierw uderzyła w metalową rączkę okna i odbijając się zabiła go. Ciało Juliana Wasilewskiego leżało na podłodze pod przykryciem przez kilka dni. Te kilka dni były okropne. Tylko głosy dzieci, domagające się czegoś, można było usłyszeć. Reszta w milczeniu krzyczała do Boga dlaczego ich opuścił..., dlaczego nie skierował niemieckich kul na żołnierzy radzieckich....

 Nie pamiętam dokładnie który to był dzień ... 27 czy 28 czerwca ?? . Nagłe , hałaśliwe otwarcie drzwi obudziło nas wszystkich. N K W D rozkazało wynieść ciało Juliana Wasilewskiego na zewnątrz. Było wciąż dość ciemno, ale można było zauważyć świt na wschodzie. Czesław i Stanisław Wasilewski, Gabriel Janczewski i ja wyszliśmy z wagonu. Po ostrzeżeniu: "Krok w prawo... krok



Stonehaven

Podroze cywilne —
 Podroze wojskowe —
 Skala 1cm = 303 km.

w lewo... użyję broni ...", jeden enkawudzista z karabinem gotowym do użycia ruszył do przodu. Nam kazano podnieść ciało i iść za nim. Mnie przypadł tylny lewy róg prześcieradła. Za nami szedł drugi żołnierz z karabinem. Zaraz po zejściu z nasypu toru kolejowego, pierwszy enkawudzista skierował się w prawo, gdzie polna miedza była widoczna. Po przejściu około 30 metrów wzdłuż miedzy, enkawudzista zatrzymał się i kazał nam położyć ciało na ziemi ...Wracając do wagonu zauważyłem podobną do nas grupę również wracającą do wagonu. Dopiero po kilku dniach, na stacji w Martuk, dowiedzieliśmy się, że zmarł ojciec mojej bratowej i został położony na ziemi owinięty w prześcieradło niedaleko od Juliana Wasilewskiego. Nigdy nie zapomnę tego przygnębiającego pogrzebu ..Jak smutno było nie wiedząc co się stanie z pozostawionymi zwłokami niewinnych ludzi.... Poranna cisza pustego pola, mimo brzasku na niebie, nie została zakłócona rannym koncertem ptaków. Był to chyba dowód, że nawet ptaki, jeśli w ogóle były na tej nieludzkiej ziemi, swoim milczeniem chciały wyrazić słowa współczucia rodzinom zmarłych.

II

K A R A - T U - S A J

W pierwszych dniach lipca pociąg zatrzymał się na małej stacji. Widok z okna był przygnębiający. Budynku dworcowego nie było widać. Tylko kilka glinianych domków było skupionych przy torze. Dalej płaskie, bezdrzewne pola rozciągały się po horyzont.

Po dłuższym oczekiwaniu rozkazano aby się pakować i wysiadać. W naszym wagonie była wciąż cisza. Nikt nie okazał najmniejszego entuzjazmu lub podniecenia. W rodzinach instrukcje starszych były wydawane szeptem.

Wielkość zbrodni radzieckich morderców można było ocenić

gdy wagony zostały opróżnione i pociąg odszedł. Długi peron był wypełniony ludźmi różnego wieku i wyglądu, z najrozmaitszymi rzeczami leżącymi na ziemi, ludźmi czekającymi na nie wiadomo co ... Następny obraz przypominał mi filmy przedstawiające sprzedaż niewolników w Arabii. Jacyś cywile chodzili wzdłuż peronu, tam i z powrotem, przeglądając i oglądając nas wszystkich. Byli to, jak się okazało, kierownicy kołchozów, z rozkazem wyboru i zabrania pewnej ilości ludzi. Tak się złożyło, że nasz wagon nie został rozdzielony i wszyscy wylądowaliśmy w kołchozie imienia Feliksa Dzierżyńskiego w Kara-Tu-Saj, Marucki Rejon, Aktiubińska-Obłaść, Kazachstan.

Nie pamiętam jak długo trwała ta nasza podróż i jaka była odległość z Martuka do Kara-Tu-Saj. Środkiem transportu był dwukołowy wóz /arba/ ciągniemy przez dwa woły. Wóz był wielkości około 1,5m x 1,5m. Oczywiście wszyscy się na nim nie pomieścili. Ja i siostra Irena szliśmy pieszo. Już się ściemniało, gdy dojechaliśmy do Kara-Tu-Saj. Wozy zatrzymały się przed dość dużym budynkiem. Po zdjęciu bagażu z wozu ulokowano nas w dużej sali tego budynku, który okazał się być siedzibą władz kołchozu. Tu, na podłodze, spędziliśmy pierwszą noc naszego pobytu w Kara-Tu-Saj.

Kara-Tu-Saj nie można porównać do jakiegokolwiek polskiej wsi. Droga skończyła się przed siedzibą kołchozu. Małe gliniane budynki, w których mieszkali ludzie, były rozrzucone bez jakiegokolwiek symetrii, drogi czy ulicy. Przestrzeń między domami była pokryta stepową zielenią, której przedtem nigdy nie widziałem. Można by ją częściowo porównać do wrzosu. Ciemnozielona, bez kwiatu, rosła raczej na boki niż do góry. Jedyna studnia, bardzo głęboka, była w środku osiedla. Niektóre domy były odległe od studni około pół kilometra.

Głównym problemem pierwszego dnia było znalezienie mieszkania. Niestety władze N K W D nie przydzieliły nam żadnego przygotowanego pomieszczenia. Ludność w Kara-Tu-Saj składała się z trzech różnych narodowości. Najwięcej było Ukraińców, którzy byli również deportowani i tu osiedleni w latach przedwojennych. Ukraińcy zajmowali kierownicze stanowiska w kołchozie. Tubylcy, pochodzący z rasy mongolskiej, trzymali się oddzielnie, byli wrogo nastawieni do władz kołchozu i Rosji. Do nas byli dość przyjaźni. Jeden ze starszych Kazachów przy każdej okazji, gdy nikt nie mógł słyszeć o czym rozmawiali, pytał mego ojca, czy Niemcy wciąż idą naprzód.

Trzecią grupą mieszkańców byli Polacy, deportowani do Kara-Tu-Saj w roku 1940 z okolicy Lwowa. W sierpniu przybyła czwarta grupa deportowanych z Mołdawii.

Starsi w rodzinach przez całe przedpołudnie szukali pomieszczeń. Nasza 7-osobowa rodzina ulokowała się w końcu w jednoizbowym domku za zapłatą jednej dużej poduszki. Izba ta o wielkości 2,5mx3m posiadała miejsce na spanie nad glinianą kuchnią i paleniskiem. Tu ulokowali się moi rodzice i bratowa Loda z jej dziećmi Danką i Edkiem. Przy ścianie na prawo od drzwi było coś w rodzaju łóżka. Była to mała platforma zbudowana z glinianych bloków tuż pod oknem wielkości 50cm x 50cm. Zająłem to łóżko. Siostra Irena zajęła podobne łóżko przy lewej ścianie tuż przy oknie. Sufitu w ogóle nie było. Wyciągniętą ręką dotykałem złączenia krokwi. Dach był też gliniany pokryty warstwą mieszanki składającej się ze słomy i krowiego łajna zwanego tu kiziakiem. "Kiziak" był bardzo ważnym artykułem w życiu Kazachstanu. Służył przede wszystkim jako paliwo zastępujące węgiel i drewno. W lecie każda gospodyni zbierała go w rejonie chlewów po wyjściu krów na pastwiska. Opał na zimę był produkowany ze słomy i kiziaka bardzo prymitywnym sposobem. Kwadratowa duża dziura o

głębokości szpadla była wypełniona słomą, kiziakiem i wodą. Potem dwa woły były użyte do wymieszania zawartości swymi nogami. Po wyschnięciu mieszanka została pocięta w kwadratowe tafle i zmagazynowana na zimę.

Nasz dom stał przy ścieżce prowadzącej od siedziby kołchozů do studni i był częścią grupy domów leżących blisko siebie. Naszymi sąsiadami z jednej strony, w domku podobnym do naszego, były dwie rodziny Polaków wywiezionych w roku 1940. z Sambora. Pan Jelen z żoną i pani Osiecka z córką Honorką i z synem... byli już doświadczonymi Sybirakami, wszystko wiedzący o życiu i organizacji Kara-Tu-Saj. Pan Jelen miał stałą pracę zaopatrując w wodę ludzi pracujących na polach, czasami odległych kilka kilometrów od wsi. Miał do swojej dyspozycji dużą, drewnianą beczkę na czterokołowym wozie, dwa woły i dwa wiadra. Napełnianie beczki wiadrem z głębokiej studni zajmowało kilka godzin. Dostawa do ludzi pracujących w polu zajmowała co najmniej dwie godziny. Jeśli udało mu się dostarczyć dwie beczki wody do ludzi rozrzuconych na różnych odległych polach to był dzień dobrze zapracowany.

Gdybym mógł wznieść się do góry i popatrzeć na osiedle okiem ptaka, doszedłbym do przekonania, że warunki życia mieszkańców bardzo mało zmieniły się od czasów Chrystusa. Pola kołchozu rozciągały się w promieniu 5 kilometrów wokoło wsi. Na tak dużą przestrzeń uprawnego pola zaludnienie było - rzecz można pustynne. Jako postęp cywilizacyjny można by zaliczyć telefon z Martuka do urzędu kołchozu i kilka traktorów. Inne przyrządy rolnicze w bardzo złym stanie leżały na zewnątrz od dawna. Pozostawiono nas w spokoju do czasu osiedlenia się i rozpoznania posiołka do następnego poniedziałku. W poniedziałek rano mężczyźni i młode bezdzietne kobiety dostały przydziały pracy.

Zostałem poinformowany, że będę przydzielony do brygady traktorzystów, jako pomocnik oracza na nocną zmianę. Nie mogłem sobie wyobrazić jakie to będzie zajęcie.

Przed zachodem słońca zgłosiłem się do kuźni, gdzie nocny traktorzysta ze swoim pomocnikiem odbiera traktor i pług od dziennej zmiany. Już było ciemnowo, gdy dojechaliśmy na pole przeznaczone do orania. Tu zostałem oszołomiony widokiem pola. Olbrzymia przestrzeń przed nami była zarośnięta najrozmaitszą masą zielska. Rozpoznałem tylko słoneczniki. Widząc moje zdumienie traktorzysta wyjaśnił mi, że to pole było nieorane przez trzy lata. Różnorodne zielsko po zaoraniu dało ziemi to samo, co nawozy sztuczne lub obornik, który był używany jako paliwo do gotowania i ogrzewania. Moim zadaniem było dopatrzeć żeby pług nie zapychał się. I tak siedząc, bardzo niewygodnie, tyłem za siedzeniem kierowcy traktora, z nogami opartymi o ramę dwuskibowego pługa, spychałem gęste zielsko w dół prawie bez przerwy. Pole było bardzo długie, a noc jeszcze dłuższa.

W czasie przerwy traktorzysta wyjaśnił mi wiele rzeczy odnośnie płacy i obyczajów w tym kołchozie. Otóż ten kołchoz podzielony był na brygady: traktorową, sianokosową, polną, ogrodową/, które faktycznie istniały tylko w lecie. Powiedział mi, że jeżeli traktor nie zepsuje się, to on zarobi w ciągu tej nocy 4 dniówki obrachunkowe. Zaorana przestrzeń była mierzona każdego dnia. Nie pamiętam ile metrów kwadratowych trzeba było zaorać, żeby zarobić jedną dniówkę. W każdym razie tej nocy traktorzysta zaorał wystarczający obszar, aby dostać 4 dniówki dla siebie i 2 dla mnie. Nie było warto orać więcej, bo normy byłyby powiększone. Nie było wypłat ani tygodniowych ani miesięcznych. Rozliczenie odbywało się raz w roku. Każdy członek kołchozu miał swoje konto, na które kierownik brygady wpisywał

wypracowane dniówki robocze. Przy końcu roku ilość dniówek była podsumowana dla każdego kołchoźnika i dla całego kołchozu.

Każdy kołchoz w Związku Radzieckim w zależności od ilości hektarów uprawnego pola musiał dostarczyć do punktów zbioru dla państwa bez zapłaty proporcjonalną ilość uprawianych zbóż lub jarzyn i mięsa, bez względu czy urodzaj był dobry czy nie. Jeśli urodzaj był słaby kołchoźnicy musieli dać pieniądze na zakup produktów na wolnym rynku i oddać dla państwa. Na jesieni 1941 roku zbiory okazały się obfite. Po oddaniu Sowietom należności i odłożeniu nasion na następny rok pozostała pszenica została podzielona przez ilość dniówek całego kołchozu. I tak wypadło po 10 kg pszenicy za jedną dniówkę, po 5 kg jęczmienia i po 5 kg prosa. Ziemniaków nie uprawiano ze względów klimatycznych. Mieszkańcy Kara-Tu-Saj cieszyli się tak dobrym przydziałem zboża, ale nie na długo. W listopadzie, już po moim wyjeździe, zjawiono się N K W D w Kara-Tu-Saj i zarządziło zebranie wszystkich kołchoźników w biurze kołchozu. Mówca zaczął chwalić kierownika kołchozu, kierowników brygad i wszystkich członków za wysiłek dla Związku Radzieckiego za tak dobre zbiory. Ale tak się złożyło, że ZR został napadnięty przez Hitlera, i potrzebował dużą armię. Armia musiała być żywiona. Wobec tego zaproponował żeby kołchoźnicy ochotniczo i jednogłośnie ofiarowali władzy 5 kg pszenicy, 2,5 kg jęczmienia i 2,5 kg prosa za każdy 1 dzień pracy bez zapłaty. Gdy zapytał czy ktoś chce głosować przeciw propozycji ani jedna ręka nie podniosła się.

Po kilku nocach pracy pole zostało zaorane i zostałem przeniesiony do sianokośnej brygady. Składała ona w tym czasie lucernę w stogi, których architektem był mój ojciec. Lucerna jest rośliną o dużej wartości pokarmowej dla bydła, równoważnej czerwonej koniczynie. Rośnie bardzo gęsto do wysokości 50 cm. Po

wyschnięciu jest bardzo lekka i łatwo łamiąca się.

Pierwszego dnia rano w sianokośnej brygadzie, dostałem dwukołowy wóz i dwa woły. Nie miałem trudności z założeniem jarzma na szyje wołów i wkrótce włączyłem się w kolumnę.

Pole było dość daleko od posiołka. Masa małych kopek rozciągała się długo i szeroko. W środku pola stał duży stóg już skończony. Obok niego był drugi w trakcie budowy. Moim zadaniem było ładowanie lucerny złożonej w małe kopki na wóz i przewiezenie jej do stoga oraz podanie widłami na stóg. Brygadier stał przy stogu i notował kto i ile razy przyprowadził wóz do stoga. Ażeby zarobić 1 dniówkę trzeba było dostarczyć 4 wozy lucerny. Pouczono mnie, żebym się nie spieszył. Miałem przywieźć lucernę 4 razy przed południem, mieć przerwę obiadową i potem znowu 4 razy po południu, co dałoby mi 2 dniówki. Przy końcu tygodnia przerwa obiadowa była krótsza, bo odległości od małych kopek do stoga się wydłużały. Moje doświadczenie z wołami przybierało na sile. Były dwa sposoby prowadzenia wołów. Początkujący woźnica szedł raczej pieszo przed wołami, trzymając linkę około 1,5 m długą, której końce były zawiązane na rogach wołów. Jeśli woły były starsze i zgrane, a na drodze były ślady kół wtedy można było siedzieć na wozie. Jeśli się chciało skrócić w lewo wtedy trzeba było krzyknąć "cob" i uderzyć prawego woła w prawe udo. Chcąc skrócić w prawo trzeba było krzyknąć "cobe" i uderzyć lewego woła w lewe udo.

Zaraz po zakończeniu sianokosów przystąpiono do koszenia pszenicy. W Kara-Tu-Saj były 3 kombajny, ale nie pamiętam dnia w którym by wszystkie 3 pracowały. Nie było żadnego magazynu na zboże. Kombajny wysypywały pszenicę na oczyszczoną i wyrównaną ziemię w polu. Po tygodniu była góra pszenicy. Zaczęła się odstawa pszenicy do Martuka. Każdego dnia rano przeznaczano 5

wozów. Każdy wóz był załadowywany 5-ma workami pszenicy po 100 kg każdy. Tylko jeden mężczyzna był między woźnicami. Pozostałe 4 były to młode kobiety. Przez pierwsze kilka tygodni żadnego z Polaków z ostatniego transportu nie zaangażowano do odstawy zboża. Władze obawiały się, że może ktoś nie wróci. Ale nadszedł dzień, w którym otrzymałem rozkaz, że następnego dnia będę prowadził kolumnę do Martuka ze zbożem. Miałem również zgłosić się do magazyniera by dostać suchy prowiant na jutro. Dostałem tylko kawałek białego sera i porcję chleba, gdyż żadnego mięsa akurat tego dnia nie było.

Nasze wyżywienie w Kara-Tu-Saj było monotonne. Często jedliśmy kaszę jaglaną 3 razy dziennie. Za artykuły otrzymane z magazynu nie musieliśmy płacić od razu. To było do rozliczenia przy końcu roku. Tylko mleka po odciągnięciu śmietany tzw. "peregona" można było dostać każdego dnia i ile się chciało.

Nasza macocha Waleria Lachowska okazała się nie zastępowaną gospodynią. Były dni, w których 4-ro nas poszło do pracy. 6-na opiekowała się małą Danką i Edkiem, zbierała "kiziak", zdobywała żywność, gdzie się dało, by nas wszystkich karmić. Dość często, gdy praca była daleko od posiołka, dostawaliśmy gorący obiad przygotowany przez Honorkę Osiecką.

Można by powiedzieć, że kolchoz w Kara-Tu-Saj, w porównaniu z innymi kolchozami był bardzo bogaty. Ludzie z głodu nie umierali, bo jak wspomniałem "peregona" można było dostać ile się chciało. Kaszę jaglaną też można było dostać bez trudności.

Była godzina siódma rano, gdy po załadowaniu zboża, ruszyliśmy w drogę do Martuka. Nie znając trasy, bo to był mój pierwszy wyjazd do Martuka, zająłem ostatnie miejsce w kolumnie. Podróż była powolna i monotonna. Z każdą godziną było bardziej gorąco. Nie wiedziałem jak długo będziemy w drodze. Pełna droga,

czasami biegnąca przy słupach linii telefonicznej, nie miała żadnych znaków drogowych. Woły, wydawało się, szły coraz powolniej. W pewnym momencie po obu stronach drogi ukazały się krzaki. Kolumna zatrzymała się i woły położyły się do odpoczynku. Moje towarzyszki podróży pojedynczo poszły do krzaków i każda po powrocie siadła na ziemi w cieniu. Nie znając płynnie języka ukraińskiego nie mogłem wziąć udziału w rozmowie z nimi. Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy w drogę. Następną przerwą w monotonii był przejazd przez wioskę z domami podobnymi do Kara-Tusaj.

Było już południe, gdy dojechaliśmy do Martuka. Po przejeździe toru kolejowego kolumna zatrzymała się przed budynkiem, który okazał się być magazynem zboża. Po zameldowanie się w biurze, podając nazwę kołchozu i ilość worków, zostałem oszołomiony, gdy mi powiedziano żebyśmy sami przenieśli worki do magazynu i wysypali pszenicę. Oczywiście moje towarzyszki wiedziały o tym. Gdy zobaczyłem dwie z nich mocujące się ze 100 kilogramowym workiem, wziąłem go na plecy i poszedłem w kierunku otwartych drzwi. Okazało się, że to nie były właściwe drzwi. Aby dojść do drzwi magazynu zbożowego trzeba było wejść na schody /około 8 schodów/, do środka i znowu 4 schody. Nie czułem dużego zmęczenia po rozładowaniu pierwszego wozu. Ale po następnym musiałem odpocząć. Mój odpoczynek wydłużał się po rozładowaniu każdego następnego wozu. Dziś, myśląc o tym, jest mi trudno uwierzyć, że ja sam przeniosłem 2500 kg to jest 2,5 tony pszenicy w ciągu krótkiego czasu. Dziś mam trudności z podniesieniem 50 kg worka cementu.

Po zjedzeniu suchego obiadu i napojeniu wołów ruszyliśmy w drogę powrotną. Znowu zająłem ostatnie miejsce w kolumnie.

Bardzo mało pamiętam z tej podróży. Zasnąłem. Gdy się obudziłem wóz stał po środku drogi, woły leżały na ziemi, przede mną nie tylko pusta droga. Spojrzałem do góry. Słońce już było wysoko. Doszedłem do przekonania, że ja przespałem, tu na drodze, całą noc i większą część przedpołudnia. Było już południe, gdy dojechałem do Kara-Tu-Saj. Nie wiedziałem czy miałem się wstydzić, czy obawiać się o posądzenie próby ucieczki. Ale brygadier wiedział co się stało. Zapytał czy ja nie wiedziałem o tym, że powinienem był przywiązać woły do poprzedniego wozu. Wtedy tylko pierwszy woźnica nie może spać. Ojciec obawiał się, że może zdecydowałem się na próbę powrotu do Polski. Nie miałem żadnych trudności ze strony władz, ale mnie już nigdy nie wysłali z dostawą pszenicy do Martuka.

Na początku sierpnia przybyli studenci, obojga płci, z uniwersytetu w Aktubińsku, by przyspieszyć zbiory pszenicy bo wielu młodych mężczyzn z posiołka zostało wezwanych do armii. Liczni z nich byli wielbicielami systemu komunistycznego i Stalina. Pełni entuzjazmu pouczali nas jak to sowi^eccy uczeni wynaleźli elektryczność, telefon, samolot i wiele, wiele innych rzeczy. Gdy zapytałem czy oni też wymyślili wieczne pióro, to powiedzieli, że tak, gdyż Stalin wydał rozkaz żeby to zrobić. Zapytałem, czy ktoś z nich ma wieczne pióro. Okazało się, że nikt z nich nie miał wiecznego pióra i nawet nikt nie widział wiecznego pióra. Gdy im pokazałem, to po obejrzeniu powiedzieli, że to jest dowód, jak wielkim geniuszem jest Stalin.

Choroba Zofii Wasilewskiej-Chełstowskiej zaczęła się nagle pogarszać. Jej lekarstwa, zabrane ze sobą z Polski, skończyły się już dawno. Nowych nie było. Nie mogła przecież iść pieszo do Martuka odległego o 25 km na badanie lekarskie.

I tak rodzinę Wasilewskich po raz drugi uderzył bolesny

cios. 24-go czerwca Julian Wasilewski, ojciec tak dużej rodziny, został zabity w pociągu w czasie nalotu niemieckich samolotów. Śmierć Zofii przygnębiła wszystkich mieszkańców Kara-Tu-Saj - Polaków, Ukraińców, Rumunów i nawet Kazachów, -którzy współczuli rodzinie, żalując że jej ciało będzie pochowane tak daleko od rodzinnych stron w tej okrutnej i obcej ziemi.

Nie ogrodzona, mała przestrzeń, zaraz za oborami była przeznaczona była na cmentarz. Nie wyglądała na cmentarz. Nie było widać żadnych mogił ani krzyży. Ziemia była udeptana przez bydło w drodze na pastwisko. Było kilka drewnianych słupków z czerwonymi gwiazdami, na których kiedyś były imiona i nazwiska zmarłych, ale już nieczytelne.

Na drugi dzień po jej śmierci, przyłączyłem się do Czesława i Stanisława, braci Zofii, by pomóc wykopać grób. Męczyliśmy się we trzech cały dzień. Mieliśmy tylko jeden szpadel. Ziemia była niezmiernie twarda. Gлина zmieszana ze żwirem wyschła do twardości betonu.

Było mi bardzo smutno grzebiąc Zofię Wasilewską. Wiedziałem, że jej cierpienia się skończyły, ale reszta rodziny cierpiała przez następne 5 lat w tej obcej i okrutnej, jakby przez Boga zapomnianej ziemi Kazachstanu.

III

AMU-DARIA

W połowie września 1941 r. zjawilo się NKWD w Kara-Tu-Saj. Wszyscy Polacy zostali wezwani do siedziby kołchozu. Tu w krótkich słowach powiedziano nam, że na podstawie umowy między rządem polskim gen. Wł. Sikorskiego w Londynie a rządem Związku Radzieckiego jesteśmy wolni. Każdy dostał, już przygotowane zaświadczenie na piśmie. Mimo, że nagle zostaliśmy obywatelami Polski nie wolno nam było wyjechać, a właściwie opuścić Kara-Tu-Saj bez zezwolenia. Równocześnie wieści o organizowaniu się Armii Polskiej w ZSRR zostały potwierdzone. Ochotnicy do Armii Polskiej mieli uzyskać wszelkie ułatwienia.

12 października opuściłem Kara-Tu-Saj. Lekko ubrany, mundur i płaszcz szkolny z tarczą Gimnazjum im. Stanisława Leszczyńskiego w Ostrołęce, wiatrówki na nogach, bez żadnego prawie bagażu, bo przecież szedłem do wojska. Dołączyłem do Gabriela Janczewskiego i pani Stokowskiej, którzy szli do Martuka. Pola wyglądały dziwnie, gdyż w nocy spadł śnieg, a pszenica jeszcze nie była skoszona..

Było już późne popołudnie, gdy doszliśmy do stacji kolejowej Martuk. Martuk jest siedzibą Martuckiego Rejonu, Aktiubińskiej Oblaszi w Kazachstanie, leżący przy głównej linii kolejowej Moskwa-Kujbyszew-Alma Ata-Nowosybirsk-Władywostok. Mój entuzjazm został przytłumiony, gdy się okazało, że NKWD nie wiedziało gdzie się tworzy Armia Polska. Gdzieś na południu, ale gdzie to nie wiedzieli. Powiedziano mi, że każdego dnia jest pociąg wiozący Polaków do wojska. Mam poczekać do jutra na następny pociąg. Długa była ta noc na podłodze w poczekalni. Oczekiwany pociąg zatrzymał się i wszedłem do wagonu osobowego. Popatrzyłem na ludzi pół-siedzących, pół-leżących na siedzeniach, ogarnęło mnie uczucie paniki. Wydawało mi się, że słyszę głos mówiący żebym wysiadł i uciekł. Tak nędzenie wyglądających ludzi nigdy nie widziałem. Siedem osób podobnych do ludzi, ubranych w brudne, wypłowiałe fufajki i watowane spodnie, nieogoleni z długimi zaniedbanymi włosami siedzieli półprzytomni. Pasażerowie następnych przedziałów wyglądali prawie tak samo. Po około pół godziny jazdy odważyłem się zacząć rozmowę z gościem siedzącym na korytarzu przy drzwiach. Był tak samo ubrany, w fufajkę i watowane spodnie, jak mężczyźni w całym wagonie. Oparły o ścianę z oczyma patrzącymi w przestrzeń, trzymał kurczowo w jednej ręce kij. Druga ręka spoczywała na czarnym metalowym kociołku, coś w rodzaju małego wiaderka. Pod tym wiaderkiem leżał worek złożony w kostkę.

Dowiedziałem się, że worek, kociołek, butelka i kij były niezbędnym wyposażeniem tych ludzi, którzy przeszli obozy pracy karnej w Rosji.

Tego samego dnia doszedłem do przekonania, że kolchoz w Kara-Tu-Saj był prawie miejscowością letniskową w porównaniu z miejscowościami, z których ci ludzie wywieźli swoje kości, bo ciała na nich prawie nie było. Uświadomiłem sobie, że Armia Polska istnieje gdzieś, ale nikt nie wiedział gdzie i kiedy do tej armii dojedziemy.

Siadłem obok wynędzniałego kościotrupa i w rozmowie dowiedziałem się, że w Polsce był leśniczym. Po aresztowaniu dostał 15 lat więzienia i został wywieziony na daleką północ. "Najgorsze miejscowości na świecie to Wołogda, Kołtas /węzeł kolejowy- tu była segregacja skazańców/, Uchta i Workuta. Mróz i głód zabijał po kilka osób dziennie w każdej wymienionej miejscowości. Zapamiętaj pan te miejscowości i powtórz te nazwy z kimkolwiek pan będzie rozmawiał. Niech ludzkość wie ...".

Przed moim odejściem w poszukiwaniu siedzenia zauważyłem, że nie mam żadnego bagażu ze sobą. "Jak pan może podróżować w radzieckim raju bez worka, kociołka, butelki ??".

Idąc w kierunku lokomotywy przeszedłem kilka podobnych wagonów do pierwszego i nie znalazłem wolnego siedzenia, a już się ściemniało. Pociąg wydawał się być strasznie długi. Odległości między przystankami też były bardzo długie.

Wreszcie wszedłem do wagonu, w którym nie było siedzeń. Były natomiast szerokie drewniane półki dla czterech osób na dole i górze. Od razu zauważyłem, że ludzie w tym wagonie wyglądają dużo korzystniej. Byli lepiej ubrani i wyżywieni. Okazało się, że ci ludzie byli jeńcami wojennymi, wzięci do niewoli we wrześniu 1939 roku. Po krótkiej obserwacji zauważyłem zupełnie inną atmosferę w porównaniu z poprzednimi wagonami. Rozmowy były

głośne, nawet można było usłyszeć śmiech. Idąc dalej doszedłem do grupy ludzi stojącej w przejściu. Słuchając ich rozmów doszedłem szybko do przekonania, że jest to grupa podoficerów. Wagon ten zajęty był przez czwartą kompanię. Następny wagon był okupowany przez trzecią, następny przez drugą i pierwszą przy lokomotywie. Aczkolwiek nie wszyscy pasażerowie tych wagonów byli jeńcami wojennymi, to te cztery wagony były zorganizowane w kompanie, plutony i drużyny. Gdy zapytałem sierżanta o przydział do jednostki skierował mnie do komendanta transportu w drugim wagonie od lokomotywy.

Było już ciemno, gdy otrzymałem przydział miejsca na górnej półce w przedziale zajętym przez komendę tego transportu. Jednocześnie zostałem zapisany na listę prowiantu, który składał się z kromki chleba i cukru /pudełeczko od zapalek/. Było to 13 października 1941 roku - mój drugi dzień w drodze do Armii Polskiej w ZSRR, do której wstąpiłem dopiero 24 grudnia 1941.

Pierwszy dłuższy przystanek następnego dnia był w Aralsku, miasteczku leżącym na północnym wybrzeżu morza Aralskiego w celu pobrania wody, węgla i prowiantu. Potem Kzyl Orda, Taszkent, Samarkanda, Bucharra i Farab 16 października 1941 r. Początkowo myślałem, że to jest zwykły przystanek po wodę i węgiel, gdyż z wagonu nie było widać żadnych budynków. Wszyscy byli zdziwieni, łącznie z naszym komendantem, gdy okazało się, że kończy się nasza podróż, że mamy wysiadać. Mój entuzjazm zgasł, gdy się okazało, że nie ma tu żadnych wojskowych samochodów, żadnej obsługi wojskowej, by zabrać nas do koszar. W ogóle nic, co by świadczyło o istnieniu Armii Polskiej. Z wysokiego nasypu, na którym stał pociąg, widać było szeroką rzekę, duży most i łąkę w dolinie. Ze smutkiem popatrzyłem na ludzi wysiadających z pociągu. Nawet niektórzy jeńcy wojenni potrzebowali pomocy przy wysiadaniu z wagonów, gdyż peronu nie było. Ci z obozów pomagali jeden drugiemu

Z ostatnich wagonów wyładowywały się rodziny i grupy. Grupy mężczyzn, kobiet, kobiety z dziećmi, młode kobiety. Wszyscy byli zajęci czy to znoszeniem bagażu, dziećmi, starszych ludzi. Tylko ja nie miałem nic do roboty, bo bagażu nie miałem, byłem zdrowy, dość dobrze odżywiony. Chodząc wzdłuż pociągu, patrząc na ten obraz nędzy, nie mogłem pozbyć się myśli powrotu do Kara-Tu-Saj. Nawet cieszyłem się faktem, że moja rodzina w kołchozie żyje w o wiele lepszych warunkach.

Było mi trudno zrozumieć instrukcję, jaką otrzymał komendant. Otóż wszyscy mieliśmy iść w kierunku rzeki i tam czekać na nowe instrukcje. Rzeka, jak się później okazało nazywa się Amudaria. Bierze początek w Afganistanie i wpada do południowej części morza Aralskiego. Jest rzeką szeroką. Patrząc na olbrzymi most kolejowy zauważyłem, że jest odgradzony wysokim płotem z drutu kolczastego biegnącym od toru w dół pod most do drugiej strony. Był również strzeżony przez uzbrojonych żołnierzy. Rzeka płynąc powoli na północ, rozdziela Uzbekistan od Turkmenii.

Tego dnia nie przewidziałem, że w sierpniu 1942 będę przejeżdżał przez ten most już jako uczeń Szkoły Podchorążych 6-tej Dywizji Piechoty w drodze do Krasnowodzka, do Persji, do wolności.

Gdy odwróciłem się od mostu, który wywarł na mnie wrażenie, gdyż tak dużego mostu jeszcze nie widziałem i spojrzałem wzdłuż brzegu rzeki, widok jaki ukazał się prawie że mnie zabił. Na płaskim brzegu i na łące wzdłuż po krańce horyzontu byli ludzie... ludzie... ludzie.....

Ludzie młodzi, starzy, z rodzinami i bez, z pościelą, z rzeczami, z namiotami niektórzy dość dobrze ubrani.... inni w łachmanach... mówiący po polsku ... ukraińsku... białorusku... hebrajsku.... ludzie przy ogniu gotujący coś w kociołkach.... /musieli tu być już przez kilka dni/, chorzyleżący na ziemi ... sami bez żadnej opieki i pomocy, z malarią

ludzie z północy ze śpiączką sztywni ze szkorbutem,
z żółtaczką....

Dzień 16-tego października 1941 r. był dla mnie jednym z najgorszych dni w moim życiu. Noc była jeszcze cięższa - długa i zimna, na ziemi pod gołym niebem bez przykrycia. Następnym dniem był dzień głodu. Nie było śniadania, obiadu, nie było suchego prowiantu. Był początkiem mojej edukacji życiowej w ZSRR. Obserwując ludzi wokoło mnie zauważyłem, że mało było ludzi samotnych. Prawie wszyscy byli zgrupowani i każdy w grupie miał jakąś funkcję, jakieś zadanie do wykonania. Leżąc na ziemi obserwowałem grupkę trzech mężczyzn. Najstarszy wiekiem był wysoki z zapadłą pierśią, pochylony do przodu, z długą chudą twarzą, do którego pozostali dwaj zwracali się "panie sędzio". Drugi nazwany "ucznikiem", był w moim wieku. Siedział na ziemi z małą deską między kolanami i butelką gniótl zboże. Trzeci członek grupy, też młody, dość przystojny, był nazywany "żulikiem". Jego zadaniem było zdobywanie zboża. On kupował również od chorych i starszych ludzi różne rzeczy nadające się do sprzedaży Rosjanom czy Uzbekom. Sędzia był kucharzem no i oczywiście oni nie głodowali.

Trzeciego dnia mego pobytu w Farabie nad Amu-darią, około upalnego południa usłyszałem jakby pochodzący prosto z nieba głos od przechodzącej osoby: "Dają jeść koło stacji". Odległość od rzeki do stacji przebiegłem bez wytchnienia i przyłączyłem się do długiej kolejki. Nie miałem jednak szczęścia. Gdy doszedłem do kotła, z którego była wydawana zupa, okazało się, że trzeba mieć kociołek, bo tylko ci dostali zupę. Nie miałem ani kociołka ani łyżki. Nawet nie zauważyłem jak zostałem wypchany z kolejki. Nieopodal grupa ludzi siedziała na ziemi jedząc zupę z kociołków. Długo myślałem skąd **dostać kociołek**. Wybawiła mnie młoda

dziewczyna z tej grupy mówiąc: "Ja stałam za tobą w kolejce. Pożyczę ci mój kociołek, spiesz się".

Następnego dnia na rzece pojawiły się cztery barki i statek parowy ciągnący je, przycumowane do brzegu jedna za drugą. Nasunęło mi się pytanie, gdzie ta Armia Polska może być ??? Jechałem pociągiem cztery dni i jeszcze nie widziałem nawet jednego polskiego żołnierza. Niektórzy mówili, że dowództwo Armii Polskiej jest daleko na północy, niedaleko Kujbyszewa, to jeszcze dalej niż skąd ja przyjechałem. Czyli, że wsiadłem do pociągu jadącego w przeciwnym kierunku. Ale przecież NKWD w Martuku każało mi wsiąść do tego pociągu. Moje dociekania zostały przerwane ruchem całej ludności zebranej nad rzeką. Zaczęto robić spis i od razu każdy dostał przydział do jednej z barek. Po załadowaniu się zaczęto tworzyć kompanie, plutony, drużyny. Na pierwszej barce, tuż za ciągnikiem, większość stanowili byli jeńcy wojenni i samotni mężczyźni. Było kilka rodzin z dziećmi i młodzieżą. Ponieważ nigdy nie byłem na podobnej barce ciekawiły mnie urządzenia i kwatery mieszkalne. Gdy zszedłem w dół to zobaczyłem, że nie ma tam żadnych kwater mieszkalnych. Okazało się, że to były barki do przewożenia zboża. Przestrzeń pod pokładem miała cztery przedziały. Rodziny zajęły jeden przedział. Resztę wypełnili samotni mężczyźni. Przy końcu pokładu przy lewej burcie stała wysoka metalowa skrzynia. Była to ubikacja, przed którą już zaczęła się tworzyć kolejka, w której przeważały kobiety i starsi mężczyźni. Załadowanie trwało całe przedpołudnie. Cała przestrzeń na pokładzie została zajęta przez ludzi stojących. Niektórym udało się usiąść. Kiedy statek ruszył, dowódcy zaczęli dzielić przestrzeń na dole przeznaczoną na spanie, między kompanie, plutony i drużyny. Zostałem przydzielony do 3-ciej drużyny, pierwszego plutonu pierwszej kompanii. Żywność

była zmagazynowana pod pokładem przy dziobie barki z oddzielnym wejściem. Przed odejściem po żywność drużynowy kazał mi zrobić listę drużyny. Gdy wróciliśmy z 4-oma bochenkami chleba na 16-scie osób i trochę cukru, zostałem zdumiony, że drużynowy wyjął ze swego worka krótki patyk i dwie kwadratowe blaszki owinięte cienkim sznurkiem. Z tego wszystkiego sporządził wagę. Pierwsza odkrojona porcja stała się ciężarkiem, do której reszta porcji była dopasowywana. Drużynowy znowu powiedział mi, żebym odnotował kto dostał dziś porcję końcową, a kto środkową. Jutro będzie odwrotnie, bo końcowa porcja jest bardziej wypieczona i ma większą wartość. Ponieważ nie miałem nic w czym mógłbym przechowywać cukier, drużynowy wysypał go do moich złożonych rąk i zjadłem go od razu. Jedząc chleb chciało mi się pić, ale nie miałem kociołka, żeby pobrać wodę z rzeki, wobec tego jadłem go dłużej niż ci co mieli wodę.

Ponieważ na barkach nie było żadnego światła, trzeba było iść pod pokład zanim zaczęło się ściemniać. Wydawało mi się, że tylko ja jeden nie wiedziałem co robić. Wszyscy inni zaczęli się kłaść w rzędzie jeden koło drugiego, jak snopki od ściany do ściany. Pierwsza osoba w drugim rzędzie położyła się głową do głowy pierwszego rzędu. Trzeci rząd ułożył się nogami do drugiego rzędu zostawiając małą przerwę na korytarzyk. Mój drużynowy od razu zorientował się, że ja nie mam żadnego doświadczenia życiowego w radzieckim raju i gdy zobaczył mnie układającego się blisko schodów wyjściowych, skinął na mnie żebym szedł za nim. On położył się w czwartym rzędzie zaraz przy ścianie i ja koło niego. "Nikt nie będzie nas deptał i będziemy spali w spokoju" powiedział.

Spokój był, ale ja nie mogłem zasnąć przez długi czas. Po kilku godzinach zaczął się "cyrk". "Patrz gdzie idziesz człowieku ... niech cię krew zaleje....o moja noga o moja głowa

o moje plecy... weź moją butelkę i wypróżnij ją z burty
zołądek mi nawalił nie mogę wytrzymać..."

Ten wielobarwny i wielogłośny chór trwał bardzo długo i
każdej nocy. Ci, co pili surową wodę z rzeki i musieli szybko
wychodzić na zewnątrz przesiedzieli resztę nocy na burcie barki.

Gdy na drugi dzień wstałem i wyszedłem na pokład dwie rze-
czy uderzyły mnie w oczy. Przy prawej burcie /ubikacja była po
lewej/ stał rząd mężczyzn jeden przy drugim opróżniając pecherz.
Zaraz obok stali inni czekając na wolne miejsca przy burcie. To
trwało przez długi okres czasu.

Statek z barkami posuwał się powoli środkiem rzeki. Rzeka,
będąc szeroką, nie była głęboka. Tu i tam było widać piaszczyste
wysepki. Były też dość duże pośrodku wody pokryte zielenią. Przy
takich wysepkach ~~konwój~~ zatrzymywał się na noc. Po kilku dniach
podróży zatrzymaliśmy się przy brzegu po to tylko, jak się okazało,
by pochować zmarłych. Gdy prawa burta trochę opróżniła się, ci co
mieli i używali w nocy butelki zaczęli wyłazić do góry na pokład
aby te butelki opróżnić. Potem ludzie zaczęli spuszczać spodnie
i siadać na burcie, oczywiście, tyłem do wody. Ja też musiałem
to zrobić. I tak siedząc przez dość długi czas, oczekując na po-
ważniejszą akcję, spojrzałem na lewą burtę. Kolejka do ubikacji
była bardzo długa. Lewa burta też była zajęta przez ludzi siedzą-
cych obojga płci. Na pokładzie ludzie zaczęli krążyć, zaczęli
szukać jedni drugich. Zadumany, patrząc na pokład i nic nie wi-
dząc za wyjątkiem nóg ruszających się w lewo i w prawo, zosta-
łem zaintrygowany osobą rodzaju żeńskiego, która zatrzymała się
koło mnie, pociągnęła sukienkę z przodu by zakryć kolana i teraz
spojrzała na mnie a ja na nią. "Jak długo tu siedzisz ? " zapy-
tała. "Ja już siedziałam przez dwie godziny po tamtej stronie ...
i nic może będę miała lepsze szczęście tutaj jeśli mnie

nie poznajesz to ci powiem, że to ja pożyczyłam ci kociołka w Farabie ...".

W tej chwili, jakiś dość dobrze ubrany mężczyzna idąc od dzioba w kierunku końca barki oświadczył, że za pół godziny będzie prowadził lekcję języka angielskiego na dziobie barki. Tak wyglądało przedpołudnie w pierwszych dniach naszej podróży do Armii Polskiej na rzece Amu-darii, płynąc z prądem w kierunku północnym. Niestety nikt nie wiedział gdzie ta Armia Polska jest i dokąd płyniemy. Do przedpołudniowego zajęcia doszło bicie wesz, które pojawiły się po 3-ciej nocy. Po południu były wykłady wojskowe, rozdanie chleba i cukru, odprawy w plutonach, wyznaczenie służbowych i warty przy magazynie prowiantu. Potem w małych grupach ludzie opowiadali swoje przeżycia. Słuchając opowiadań, tych z dalekiej północy z Uchty, Kotłasu, Workuty po cichu cieszyłem się swoim losem, który dotychczas w ogóle nie był tak okrutny w porównaniu z innymi.

Następnego dnia, gdy kończyłem bicie insektów, moja mało znana panienska znowu się pojawiła i tak jak wczoraj siadła koło mnie. Tym razem jej zachowanie było inne. Dużo czasu spędziła zakrywając swe kolana dając mi znać, że jest skromną, udając małą dziewczynkę. Gdy zapytałem jakie ma imię i skąd pochodzi, to mi odpowiedziała głosem dziecięcym, żebym o nic nie pytał, jeśli chcę, żeby koło mnie siedziała. Oczywiście jej obecność skracala czas głodu, czekając na rozdanie chleba i cukru. Innego dnia udawała niegrzeczną uczennicę i dowiedziałem się, że ma imię Halina, pochodzi ze Stanisławowa i chodziła do szkoły Urszulanek.

Gdy usłyszeliśmy ogłoszenie o rozpoczęciu lekcji angielskiego wstała i przypomniała mi, żebym podciągnął spodnie, jeśli chcę z nią pójść na wykład. Idąc w kierunku wykładu mój drużynowy dość głośno zawołał: "Lachowski, nasza drużyna ma jutro służbę..".

Zanim zacząłem iść dalej podszedł do mnie wysoki, dość dobrze wyglądający człowiek i zapytał: "Skąd pan Panie Lachowski? ". "Ja jestem z okolic Łomży" odpowiedziałem. "Ja też jestem od Łomży, ze Starych Kupisk..". Nie zdążyłem zapytać o coś, ani odpowiedzieć na jego oświadczenie, gdyż Halina pociągnęła mnie za rękę mówiąc: "Choć na lekcję angielskiego, będziecie mogli rozmawiać przez całą noc jak tu wrócisz".

I tak na pierwszej lekcji języka angielskiego wykładowca bez tablicy, bez kredy zaczął swój wykład od wymowy samogłosek i spółgłosek, odmiany "to be", "to have" w czasie teraźniejszym.

Po wykładzie odnalazłem człowieka z Kupisk. Usiadłem koło niego i nie ruszyłem się z miejsca aż do czasu rozdawania chleba. Znał on mego najstarszego brata Czesława, jego żonę Leokadię i rodzinę Żelaznych.

Od tego czasu moja stopa życiowa na barce na rzece Amu-daria od razu się poprawiła, jak również poprawiło się moje samopoczucie. Nie czułem się tak samotnym jak dotychczas. Z opowiadań wynikało, że jego los nie różnił się od losu innych jeńców wojennych. On również czuł się dużo lepiej spotykając mnie, gdyż mieliśmy dużo do opowiadania czy to o ludziach czy o miejscowościach koło Łomży. Jego worek wyglądał jakby był nowy i pełny. Dla mnie osobiście najlepszą rzeczą jaką miał, był primus i czajnik. Tego dnia, po otrzymaniu żywności, napiłem się gorącej herbaty, zjadłem chleb krojony nożem i posypyany solą. Smak tego chleba pobił smaki ciast, tortów i wszelkich smakołyków jakiegokolwiek poprzednio jadłem. Następnego dnia przeszedł szybciej. Zaraz po porannym biciu wesz zostałem zaproszony przez mego nowego znajomego Łomżyniaka na gotowaną wodę. Halina tego dnia nie przyszła. Po południu dużo młodsza dziewczynka przyszła i pytała, gdzie jest Genia. Po długich dociekaniach doszliśmy

do prawdy. Halina była właściwie Eugenią Górską albo Genią w skrócie.

Następnego dnia rozeszły się wieści, że w magazynie nie ma chleba na dzień dzisiejszy, bo rozkradli go ci, co pełnili wartę przy wejściu do magazynu. Skradziony chleb można kupić, ale gdzie, nikt nie wiedział. Gdy doszedłem do dzioba barki, by sprawdzić, ile jest w tym wszystkim prawdy, zastałem tam dużo ludzi koło wejścia do magazynu. Wejście było dziurą kwadratową w podłodze. Było dużo krzyku przeciw komendantowi barki. Zebrani ludzie rozpychali się i ~~popychali~~ ^o popychali jedni drugich, by być bliżej wejścia. Nikt jednak nie usiłował wejść do środka. Przy tym ruchu nie miałem trudności z dojściem do wejścia i zacząłem schodzić po krótkich schodach. W środku było ciemno. Nie mogłem stać prosto na nogach, gdyż głowa dotykała sufitu. Wobec tego ukląknłem i poomacku doszedłem do ściany. Po kilku sekundach czołgania się po podłodze znalazłem kawałek chleba. Oczywiście zacząłem go jeść. Posuwając się wzdłuż ściany aż do rogu nie znalazłem nic. Przy drugiej ścianie znalazłem kilka bardzo małych kawałków chleba. Przy następnym rogu zatrzymałem się i skończyłem jeść chleb. Z zewnątrz dochodziły krzyki i zapytania, czy znalazłem chleb. Ostatnie kawałki chleba były suche i twarde, ale zjadłem je i zacząłem, wciąż na kolanach i rękach posuwać się wzdłuż ściany. Tu podłoga zaczęła wznosić się do góry raptownie, a przestrzeń się zmniejszać. Musiałem położyć się i czołgać, by dojść do dzioba. Ręką namacałem coś mokrego i zimnego. Nie mogłem uwierzyć swojemu szczęściu. Znalazłem trzy ryby. Powstało pytanie, jak je wynieść, jak je schować i gdzie?. Doszedłem do przekonania, że więcej chleba nie znajdę!! Dwie ryby włożyłem za koszulę, jedną przy lewym biodrze, drugą przy prawym. Trzecią rybę trzymałem w ręku. Gdy się wyprostowałem przy wyjściu

nie zdążyłem użyć drabiny, gdyż zostałem wyciągnięty do góry. Gdy stanąłem już w moich rękach ryby nie było. Odnalazłem nowo znalezionego Łomżyniaka Krajewskiego i opowiedziałem mu, co się stało. Powiedział, że mam szczęście, iż nie rozebrali mnie do naga, by sprawdzić czy czegoś nie schowałem. Okazało się, że znalazłem solone śledzie. Ciekawe skąd się wzięły te śledzie, bo nie było ich na liście prowiantu? Może leżały tam przez długi czas i należały do załogi barki z poprzednich podróży. Pan Krajewski przyjął jednego śledzia jako prezent ode mnie i pożycz mi kociołka, żeby mojego wymoczyć. On swego nie chciał moczyć i powiedział, że zatrzyma go na gorsze czasy. Również ostrzegł mnie, żebym nie spuścił oka z mego śledzia. Żebym zignorował, gdy ktoś powie, że mnie ktoś wołał lub żebym gdzieś poszedł. I tak siedziałem i patrzyłem na tego śledzia w kociołku aż do ściemnienia się. Koło kociołka i mnie utworzył się krąg ludzi mówiąc tylko o jeczeniu i patrząc na tego śledzia bez przerwy. Zmieniałem wodę kilka razy, żeby przyspieszyć proces odsole-
nia, a ten czas włókł się i włókł się. W końcu nie wytrzymałem i poprosiłem pana Krajewskiego o nóż. Stojąc i trzymając śledzia w lewej ręce, prawą ręką rozprułem brzuch i wyjmując wnętrzności odciąłem głowę, którą miałem zamiar wyrzucić za burtę. W tym słyszę "Panie! nie rób pan tego!". Gdy spojrzałem na prawą rękę był w niej tylko nóż. Ten człowiek tak to wszystko szybko po-
knął, że nawet nie przystał na moment. Widziałem tylko jego tył. Kiedy Halina zjawiła się następnego dnia późnym przedpołudniem nie wspominałem, że ktoś jej szukał poprzedniego dnia. Przyznać muszę, że jej bezceremonialne zachowanie się i jej bliskość koło mnie skracała monotonię i nudę dnia. Przyniosła ze sobą dwie kromki chleba posypane cukrem i powiedziała, że jeśli będę grzecznym, to mi da coś każdego dnia, ale zastrzegła się, że nie

obietuje. Rozmowa obracała się około pogłosek o skradzionym chlebie. Gdy zapytałem, czy ten chleb, który zjadłem był skradziony z magazynu? Halina wybuchła ... potok przekleństw i wulgarnych słów nie pasujących do panienki ze szkoły Urszulanek oszołomił mnie. Inni ludzie przyłączali się do rozmowy zachęcając ją do rysztockowych wyrażań. Wstając do odejścia powiedziałem, że Halina bardzo mi się spodobała, a Genia nie. Jej odpowiedź, nie nadająca się do druku, prawie że mnie zabiła.

Reszta dnia też stała się nie zapomniana. Około południa ciągnik z barkami doszedł do prawego brzegu rzeki i zatrzymał się. Po kilku minutach ludzie zaczęli wychodzić na ląd. Na początku tylko mężczyźni w grupach, potem młode kobiety w grupach i pojedynczo szły za nimi wzdłuż rzeki w kierunku północnym. W dali widać było duży zakręt rzeki, gdzie ludzie zaczęli się gromadzić. Gdy zbliżyłem się do tej grupy ludzi, okazało się, że zakręt był swego rodzaju bazą zaopatrzeniową. W dali było widać gliniane budynki. Pola uprawne zaczynały się zaraz od rzeki. Barki nie mogły tu dopłynąć z powodu dość szerokiej piaszczystej plaży i płytkiej wody. Kilka metrów od rzeki tłum wzrastał wokół czegoś. Gdy doszedłem do tego tłumy okazało się, że tłum zebrany był koło sterty chleba, który w formie dużych cegieł ułożony był w kształcie sześcianu o wymiarach półtora metra. Wokoło tego sześcianu dwóch radzieckich żołnierzy uzbrojonych w karabin z bagnetem w ręku chodziło między chlebem a ludźmi. Tłum rósł z każdą minutą. Nowo dochodzący ludzie chcąc zobaczyć, co jest w środku, musieli rozpychać i popychać stojących gapiów. Nawet dziś, prawie po 50 latach, wciąż widzę, co się stało. Ludzie stojący naprzeciw rogów sześcianu zaczęli popychać ludzi stojących w pierwszej linii, zmuszając żołnierzy do zatrzymania się i odepchnąć ich tam, gdzie stali poprzednio. Zaraz za

chwile ludzie stojący naprzeciw drugiego roga zaczęli zbliżać się do chleba. Żołnierz musiał biec tam żeby ludzi odepchnąć i utrzymać metrową przestrzeń od sterty chleba. Popychanie zaczęło się teraz na dwóch przeciwnych sobie rogach do tego stopnia, że ci dwaj żołnierze musieli biegać od rogu do rogu. W końcu ktoś podstawił nogę biegnącemu żołnierzowi, który oczywiście upadł. Nie mogę powiedzieć, ile sekund upłynęło, gdy ta sterta chleba znikła. Mnie udało się złapać dwa bochenki chleba. Biegiem wróciłem na barkę. Obydwa bochenki dałem Krajewskiemu do przechowania w jego worku. Gdy skończyłem opowiadanie, co się stało z chlebem przeznaczonym dla naszego transportu na dalszą podróż, zauważaliśmy wielu mężczyzn biegnących do barek z zabitymi owcami i cielętami na plecach. Niektóre owce były już bez skóry, tak samo i cielęta, a nawet były pocięte na części. Dużo ludzi biegło bez niczego. Okazało się, że milicja poinformowała o kradzieżach w kołchozach, spędzała wszystkich do barek i rozkazała przesunięcie transportu na środek rzeki.

To miasto, jak dowiedzieliśmy się później, nazywa się Turkul i jest odległe od Farabu, skąd wypłynęliśmy, około 350 km. Noc była gwarna. Jak każdej poprzedniej cisza została przerwana, gdy pierwsza osoba została zmuszona do wyjścia na pokład. Jeśli to była sprawa pęcherza, to osoba miała więcej czasu i była bardziej ostrożna, gdzie postawić swoje stopy. Było mniej przekleństw. Gdy ktoś miał kłopoty z żołądkiem i musiał biec, wtedy zaczynał się huragan przekleństw, wyzwisk i to trwało długo.

Rano, znowu jak zwykle stojąca kolejka przy burcie, potem siedząca kolejka, potem wypróżnianie butelek, potem zdejmowanie odzieży i bicie wesz. Po tych wszystkich czynnościach ubierając się, rozglądałem się za Haliną, która już powinna była być, według normalnego, dziennego programu. Miałem zamiar prosić

Krajewskiego, żeby ugotował wodę na trzy osoby i podzielił jeden bochenek chleba też na trzy osoby. Ale Haliny nie było widać. Czekaając na nią uprzytomniłem sobie, że jej nieobecność spowodowała we mnie uczucie lęku i swego rodzaju zdrady. Co ja będę robił bez niej? Może przeniosła się na inną barkę na ostatnim przystanku w Turtkul. Może ją milicja zabrała? Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że ona była Genią, a nie miłą panienką, która mi pożyczyła swego kociołka na bałandę w Farabie. Niestety w ciągu następnych kilku dni nie przyszła. Gdy po tygodniu transport zatrzymał się przy małej przystani w miejscowości zwanej Nukus moje poszukiwania Haliny czy nawet Geni nie przyniosły żadnego rezultatu. Nie pamiętam dokładnej daty naszego przybycia do miasteczka Nukus. Jestem jednak pewien, że to były ostatnie dni października 1941 roku. Zaraz po wyładowaniu się na ląd, samotni mężczyźni, tak jak ja, zostali odłączeni od pozostałych. Spis nazwisk został odczytany. Kompanie zaczęły maszerować w kierunku miasta, widocznego od rzeki, gdyż teren był zupełnie płaski. Maszerując w nieznaną zacząłem tracić wiarę w znalezienie Armii Polskiej. Ale obecność Krajewskiego dawała mi pewność, wierząc, że tak długo jak jestem z nim, nic złego mi się nie stanie.

Kompania została zatrzymana przed dość długim, ale nie wysokim budynkiem, który nie wyglądał na koszary wojskowe. Wkrótce przyszła instrukcja, by podzielić kompanie na grupy 15 osobowe i przygotować się do łaźni. Po wejściu do budynku trzeba było rozebrać się do naga i oddać odzież do dezynfekcji. Przy wejściu do łaźni stała kobieta. Miała na sobie biały szpitalny płaszcz, długi fartuch i w ręku maszynkę do strzyżenia włosów. Zostałem ostrzyżony wszędzie. Dwie osoby z przydziałem małego kawałka mydła, zostały przydzielone do każdego prysznicza. Trwało to dość długo. Gdy wreszcie cała kompania zebrała się po kąpieli

i dezynfekcji nastrój się poprawił. Jeden pytał drugiego, co będzie następnie, co nas czeka dalej, czy wojsko, czy co ?

Po półgodzinnym marszu doszliśmy do małej osady. Widać było kilka małych, glinianych domków, dalej stały budynki gospodarcze. Osoba pochodzenia europejskiego, która nas spotkała, odliczyła 20 mężczyzn, włączając mnie i Krajewskiego. Powiedziała, że się tu zatrzymamy. Reszta pomaszerowała dalej. Ta sama osoba powiedziała nam, że ten kołchoz jest imienia Ordżonikidze, bohatera partii komunistycznej z Gruzji. Po dokonaniu spisu zostaliśmy poinformowani, że nie ma dla nas kwater mieszkalnych, gdyż kołchoz został powiadomiony o naszym przybyciu dopiero dzisiaj rano, że dostaniemy coś do zjedzenia. Towarzysz Owczarenko, po zapytaniu, czy jest kierownikiem kołchozu, odpowiedział, że nie jest kierownikiem kołchozu, ale nie powiedział jaką pełnił funkcję. Wszyscy domyślili się, że jest partyjną wtyczką. Owczarenko zasugerował, że najlepszym rozwiązaniem sprawy byłby nocleg wokoło paleniska, które było w polu kilkanaście metrów od drogi. Gdy doszliśmy do tego paleniska znaleźliśmy trzy dziwne rzeczy. Tróścienna szafa bez drzwi z jedną półką stała około dwa metry od pieca do pieczenia placków z grubej mąki zmieszanej z wodą i solą /lepieszki/. Obok kuchnia do gotowania, zrobiona z wysuszonych, a nie wypalonych cegieł wyglądała jak mała ^dpowalina, też tróścienna, wąska na której można było postawić tylko jeden garnek. Piec do pieczenia placków pochodził zapewne z czasów Mojżesza, a może jeszcze wcześniejszych. Była to gliniana kula o średnicy około 60 cm z otworem o średnicy 30 cm u góry. Była osadzona na podobnej do kuchenki podwalinie, ale dużo wyższa, gdyż zajmowała większe palenisko. Jako opał używany był kiziak albo suche zielsko, którego było wokoło bardzo dużo. Gdy piec był gorący, wtedy ręką

przez górny otwór przylepiało się surowe placki do wewnętrznych ścian. Jeśli placki nie chciały się przylepiać, to znaczyło, że piec nie był wystarczająco gorący.

Zielsko jest bardzo charakterystyczne. Rośnie w kształcie krzewu o wysokości do pół metra. Gęsta korona z powikłanych i poskręcanych gałązek, zamiast liści ma szpilki; długie i ostre jak igły. Mimo to wielbłądy żywiły się tym nawet gdy zielsko było już pół suche. Gdy zupełnie uschło, nawet przy małym powiewie wiatru, toczyło się po ziemi jak kula.

Już się ściemniało, gdy nasz posiłek został dostarczony. Składał się on z placków i wrzątku /kipitok/. Dostaliśmy również jedno nakrycie na dwie osoby, coś w rodzaju koca-derki. Był to pierwszy dzień i noc na gołej ziemi pod jedną derką we dwie osoby mojego pobytu w kołchozie imienia Ordżonikidze koło Nukus w Karakańskiej Radzieckiej Socjalistycznej Republice.

Na drugi dzień dostaliśmy dwa posiłki. Rano placki i wrzątek, a wieczorem wrzątek i placki. Trzeciego dnia poszliśmy do pracy zbierać bawełnę. Nikt z naszej grupy nigdy nie widział bawełny. Gdy doszliśmy do miejsca, zobaczyliśmy liczne rzędy małych krzewów pełnych białych kulek jakby z waty. Pole ciągnęło się wzdłuż, aż do horyzontu. Tak samo w lewo i w prawo nie było widać końca. Każdy z nas dostał długi, spłaszczony kosz, z szelkami, który zakładało się na plecy, by mieć obie ręce wolne. Zebrane białe kulki bawełny prawą ręką wrzucało się do kosza z lewej strony głowy. Podobnie lewą ręką. Mimo początku listopada pogoda była ciepła i słoneczna. Nastrój w grupie był dość dobry, ale o Wojsku Polskim prawie nikt nie mówił. Zaraz po południowej przerwie moje palce prawej ręki zaczęły boleć. Praca skończyła się wraz ze zmrokiem. Palce obu moich rąk stały się bezużyteczne. Nie mogłem nimi ruszać ani coś w nich trzymać. Gdy waga mojego całodziennego zbioru bawełny została dodana okazało

się, że zebrałem tylko 1/3 dziennej stawki, czyli 1/3 zapłaty, 1/3 lepioszki, 1/3 kipitok. Tak to było przez cały pierwszy tydzień. W niedzielę Owczarenko przyszedł i zapytał czy chciałbym doglądać chore konie. Oczywiście to było lepsze od zbierania bawełny. Przyjąłem ofertę. Pytał, czy jest między nami kucharz. On wolałby dać nam suchy prowiant. Krajewski powiedział po chwili, że mógłby przyjąć pracę pod warunkiem, że dostanie pomocnika i zasugerował mnie. W mojej wyobraźni widziałem dwie wypłaty, dwa placki i podwójną ilość wszystkiego.

W końcu tygodnia przy wydawaniu prowiantu na następny tydzień dodawane ilości Krajewskiego nie zgadzały się z wagami Owczarenki. W końcu wyszło na jaw, że żeby zarobić całą stawkę doglądając chore konie, musi ich być co najmniej 20, a było tylko 7. Stąd znowu tylko 1/3 wszystkiego. Ale jako pomocnik kucharza nie głodowałem i tak dobrze nie powodziło mi się przez dość długi czas.

Tak się złożyło, że w naszej grupie znalazło się trzech panów, których widziałem i obserwowałem w Farabie. Byli to Sędzia, Żulik i Uczeń. W niedzielę^e prawie wszyscy porozchodzili się gdzieś za wyjątkiem tej trójki, Krajewskiego i mnie. Wracając ze stajni, po napojeniu koni, już z dala zauważyłem Sędziego i Żulika stojących koło kuchenki. Gotowali coś. Uczeń siedział obok, jak zwykle, gniótł butelką zboże. Zbliżając się poczułem zapach gotującego się mięsa. Gdy doszedłem do Krajewskiego spytałem, co się gotuje, to powiedział, że jak poczekał to się dowiem. Zapach gotowania widocznie rozchodził się daleko, bo ukazał się pies, stojąc w dali i wachając. Potem podszedł bliżej i zatrzymał się wciąż z głową do góry, patrząc i wachając. W ciągu kilku minut był 3 metry od kuchenki. Żulikowi się ten pies nie podobał, bo zaczął go odpędzać. Ale pies zaczął krążyć wokół, trzymając

jednak dystans. Sędzia spróbował mięso i okazało się, że było wciąż twarde. A pies wciąż krążył. Gotowanie dłużyło się. W końcu Żulik nie wytrzymał nerwowo i krzyknął na psa "poszedł precz" patrzeć na ciebie nie mogę" i zaczął go pędzić rzucając w niego kamieniami. Tak samo jak pies, ja też miałem nadzieję, że może dostanę kawałek mięsa albo trochę rosołu. Ale Krajewski powiedział, że ta trójka nigdy nie dzieli się z nikim tym, co mają. Nawet gdyby mu ofiarowali, to też by nie jadł. Gdy mięso zostało wyjęte z garnka od razu wiedziałem, dlaczego Krajewski nie jadłby tego mięsa. Patrząc w kierunku psa, który wciąż stał w dali, powiedział: "Może to był jego kolega... może jego brat....może ojciec..a może nawet jego matka...".

Po dwóch tygodniach jako pomocnik kucharza i opiekuna chorych koni nabrałem sił, ale zawsze czułem się głodnym. W trzecią niedzielę naszego pobytu w kolchozie jeden ze współtowarzyszy niedoli, znany jako Julek zasugerował, żebyśmy obydwaj poszli do Nukusa. Oczywiście jedzenie było głównym celem naszego wypadu. Jadłodajnia, do której nas skierowano mieściła się w długim baraku. Przy wejściu, od siedzącej kobiety dostaliśmy drewnianą łyżkę każdy. W środku stały trzy rzędy stołów z ławkami na 8 osób przy każdym stole. Julek nie chciał siadać przy czystym i pustym stole. Zaciągnął mnie do stołu, gdzie było dużo talerzy nie zebranych do mycia. Zanim kelnerka do nas podeszła Julek zlizzał trzy talerze. Chciałem to samo zrobić, ale sama myśl o tym wydawała mi się wstrętą. Na menu było tylko mięso duszone z ryżem, które zamówiliśmy. Czekaając na zamówienie Julek zlizzał wszystkie talerze. Wydawało mi się, że kelnerka zostawiła te talerze specjalnie dla niego. Zazdrościłem mu jego swobody, jego braku skrupułów. Gdy kelnerka przyszła z naszym obiadem duszonego mięsa nie było widać, tylko ryż z ciemnym sosem. Kawałki mięsa, które znaleźliśmy były bardzo twarde. Julek powiedział, że

było to mięso wielbłądzie. Przed skończeniem dania zapytałem kelnerkę o jeszcze jedną porcję, ale ona powiedziała "nie". Więc po skończeniu Julek i ja zlizaliśmy nasze talerze i nasze usta. Byliśmy zadowoleni, ale wciąż głodni. Gdy płaciliśmy kelnerka zasugerowała, żebyśmy zabrali swoje łyżki i przenieśli się do stołu w innym rzędzie i tam zostaniemy obsłużeni przez inną kelnerkę. Znowu Julek zaciągnął mnie do stołu pełnego niezmytych talerzy. Tym razem ja też zacząłem lizać talerze, nie mogłem oprzeć się zapachowi sosu. Przy trzecim stole, zanim kelnerka powiedziała "nie" zlizaliśmy wszystkie talerze, które leżały na stole. Przy wyjściu, siedząca kobieta nie wypuściła nas, bo nie mieliśmy łyżek, które dała nam przy wejściu. Musieliśmy się wrócić, znaleźć łyżki i oddać je. Wyszliśmy z tej jadłodajni w dobrym humorze z pełnym żołądkiem, ale wciąż głodni.

Nagle pierwszego grudnia przyszedł rozkaz od Owczarenki, żeby zwrócić wszystkie naczynia kuchenne, derki, prowiant, który pozostał i przygotować się do odmarszu. Szliśmy w nieznane, ale nie długo. Na przystani na rzece Amu-daria stały cztery barki z ciągnikiem skierowanym w południowym kierunku, czyli, że wracamy do Farabu. Niestety nie mogę powiedzieć, jakie wypadki miały miejsce w ciągu dwutygodniowej podróży, gdyż nie pamiętam. Nie pamiętam jak i gdzie rozstałem się z Krajewskim, któremu tyle zawdzięczam, gdzie zdobyłem kociołek i drewnianą łyżkę. Nie pamiętam przybycia do Farabu i zejścia na ląd.

Moja pamięć zaczyna się jednak od Farabu. Widzę siebie stojącego w tłumie i słuchającego przemówienia jakiegoś Polaka. Po przemówieniu dowiedziałem się, że był to profesor Koł, ambasador Rządu Polskiego w Londynie przy rządzie Związku Radzieckiego w Kujbyszewie. Niestety nic mi się nie podobało z mowy ambasadora. W swoim przemówieniu chwalił Stalina za wypuszczenie Polaków z obozów, z więzień, kołchozów, za zezwolenie gen. Andersowi

na tworzenie Armii Polskiej. Nie powiedział, gdzie jest ta Armia Polska. Zachęcał, żeby przetrzymać ciężkie czasy. W ogóle osoba profesora Kota nie podobała mi się. Nie podobał się profesor Kot gen. Andersowi pisząc o nim w książce pod tytułem: "Bez ostatniego rozdziału". Zaraz po przemówieniu postanowiłem wracać do Kar-Tu-Saj skąd wyszedłem 12 października, by wstąpić do Polskiego Wojska.

Starszy gość stojący koło mnie wdał się ze mną w rozmowę. Pytał skąd pochodzę i widząc mój płaszcz gimnazjalny, do jakiego gimnazjum chodziłem?. Jakie miałem szczęście!!! Z rozmowy dowiedziałem się, że w budynku szkolnym jest kuchnia, której kierownikiem jest młody podchorąży z Łomży. Ta kuchnia wydaje zupę 24 godziny na dobę. Nie miałem trudności w odnalezieniu tego budynku, który był otoczony tłumem ludzi czekających na rozdanie bałandy. Kierownika znalazłem w kuchni dozorującego czterech dużych kotłów, w których gotowała się zupa. "Panie podchorąży" zapytałem "słyszałem, że pochodzi pan z Łomży. Czy przypadkowo nie słyszał Pan o rodzinie Lachowskich?". Na to nic nie odpowiedział i zaczął iść w kierunku otwartych drzwi. Po wyjściu dał mi 7 bloczków na bałandę. Na moje podziękowanie nie odpowiedział ani słowem.

Dzień 14 albo 15 grudnia był ciepły i słoneczny. Siedząc na ziemi i czekając na bałandę zacząłem planować mój powrót do Kara-Tu-Saj w rejonie i stacji kolejowej Martuk. Zdecydowałem zużyć dwa bloczki na bałandę od razu, resztę schować głęboko po kieszeniach na jutro, a może na pojutrze, bo nie wiedziałem kiedy będzie pociąg. Po zjedzeniu dwóch porcji bałandy poszedłem na stację, ale niczego się nie dowiedziałem. Przechodząc koło kuchni w drodze powrotnej automatycznie stanąłem w kolejce. Znowu zjadłem dwie porcje. Po dwóch godzinach następne dwie.

Już się ściemniało, gdy zjadłem 7-mą ostatnią porcję. Zdecydowałem pójść na stację, by znaleźć miejsce ~~w~~ wewnątrz budynku, bo noce były chłodne. Znowu miałem szczęście, gdyż pierwszy pociąg, który się zatrzymał szedł do Taszkentu czyli w moim kierunku. Dostanie się na peron nie było łatwe, ale udało mi się ominąć kontrolerów i dostałem się na pociąg. Pociąg ten nie był pociągiem pospiesznym i zatrzymywał się na każdej stacji, czasami długo, gdyż linia była jednotorowa i musieliśmy czekać na bocznej linii by przepuścić pociągi jadące w przeciwnym kierunku. Udało mi się omijać kontrolerów aż do Taszkentu. Przed Taszkentem wszystkich takich jak pasażerów bez biletów zebrano w ostatnim wagonie. Jak tylko pociąg zatrzymał się, policjant czekał na nas i kazał nam iść za nim. Oczywiście zaraz na stacji zgubił nas wszystkich.

Taszkent jest dużym miastem, pełen drzew i zieleni. Co mnie zdziwiło najbardziej to widok przed stacją. Mały ogrodzony park pełen ludzi z pościelą, z rzeczami, z bagażem nawet z żywymi kurami. Kupa śmieci wokoło świadczyła, że ci albo inni ludzie byli tam przez długi czas. Dowiedziałem się później od tragarza, że ci ludzie czekają na zezwolenie od NKWD na kupno biletu by pojechać tam, gdzie chcą. Od tego samego tragarza dowiedziałem się, jak dostać się na peron bez biletu. "Jak zobaczysz kobietę z dwoma walizkami" powiada "to udawaj tragarza. Weź jej walizki i idź za nią, może nawet dostaniesz rubla".

Dopiero na drugi dzień rano udało mi się podłapać dwie walizki i dostać na peron, i pociąg, który szedł na północ w kierunku Martuka. Nie miałem kłopotu z kontrolerami aż do popołudnia, gdy mnie i innych jak ja wyrzucono z pociągu na stacji Turkies-tan. Zauważyłem, że młody człowiek, który był pierwszy na peronie zaczął biec w kierunku lokomotywy i ja zrobiłem to samo. I tak to się powtarzało na każdej większej stacji - Kzyl Orda -

Kazalinsk - tu udało się mi nawet kupić placki, gdyż pociąg stał wydawało się godziny. W Aralsku nie udało mi się kupić czegokolwiek do jedzenia, a byłem głodny. Na tej stacji dowiedziałem się, że każda stacja kolejowa ma kran z gotującą wodą. Po kilku łykach gorącej wody czułem, że wracają siły. Ten długi przystanek dał możność obsłudze zebrać nas wszystkich i wyrzucić ze stacji. To było złe i dobre. Dobre, bo kupiłem dużo lepioszek, złe bo nie było gdzie spać, a tu już było dużo zimniej niż w Farabie. Wyrzucono mnie kilka razy z poczekalni, ale w końcu zostawiono w spokoju. Dopiero późnym popołudniem udało mi się złapać pociąg. Idąc do przodu, gdzieś w środku tego długiego pociągu osobowego doszedłem do wagonu z drewnianymi półkami i usłyszałem polską mowę. Zaintrygowany zatrzymałem się i zapytałem pierwszego człowieka mającego na sobie mundur jakiego nigdy nie widziałem, z dwoma gwiazdkami na naramiennikach, skąd i dokąd on jedzie. Bardzo grzecznie, pięknym, dźwięcznym polskim językiem przedstawił się jako porucznik Szczuka komendant grupy Polskich Lotników jadących do Buzułuka, gdzie jest dowództwo Armii Polskiej w ZSRR. Z Buzułuka mają odlecieć samolotem do Polskiego Lotnictwa w Wielkiej Brytanii. Poczęstowano mnie chlebem i suchą kiełbasą. Pytano o Polaków w Rosji. Zaczęłem od mojego wyjazdu z Kara-Tu-Saj w dniu 12-tego października do Farabu... do Turtkulu....do Nukusa ... i z powrotem do Farabu. Powiedziałem również, że mam już dość Armii Polskiej i że wracam do kołchozu w Kar-Tu-Saj, gdzie jest moja rodzina. Porucznik Szczuka po wysłuchaniu mojej epopei powiedział, że koniec moich cierpień^{nie} jest odległy, tylko dwa albo trzy dni jazdy pociągiem. Jest prawdą, że obie 5-ta i 6-ta dywizja są już pełne, ale dla takiej osoby jak ja zawsze będzie miejsce. Jeśli piechota mnie nie przyjęła to poświadczy, że mam wstępne lotnicze przygotowanie i zabierze mnie ze sobą do Polskiego Lotnictwa w Wielkiej Brytanii.

Dobrze wyspałem się tej nocy na górnej półce pod brytyjskim kocem. Rano znowu chleb z suchą kiełbasą, popity gorącą wodą wprowadził mnie w lepszy nastrój, i pozbyłem się uczucia beznadziejności. Gdy się rozwidniało i wyjrzałem przez okno, zobaczyłem głęboki śnieg. Mimo zachęty porucznika Szczuki i innych lotników do kontynuowania podróży, postanowiłem wysiąść w Martuku. Gdy wieczorem pociąg opuścił Aktiubińsk, nie mogłem przez chwilę siedzieć w spokoju. Nie wiedziałem jaka jest odległość z Aktiubińska do Martuka i ile godzin upłynie, zanim tam dojedziemy. Prawie cały czas stałem przy oknie, żeby nie spóźnić się z wysiadaniem w Martuku. Porucznik Szczuka wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie. Byłem przekonany, że jest człowiekiem zdolnym, rozsądnym i do dziś pamiętam jego szczupłą, trochę kwadratową twarz.

Już się rozwidniało, gdy pociąg zwolnił szybkość dojeżdżając do stacji Martuk. Gdy znowu wyjrzałem przez okno zobaczyłem głęboki śnieg pokrywający małe, gliniane domki. Dworzec był pusty. Ani jednej żywej duszy nie było widać. Wydawało mi się, że pociąg minąwszy dworzec powinien stanąć. Stało się odwrotnie, zaczął przyspieszać. Wielki ciężar spadł z moich ramion. Nie będę musiał iść piechotą przez co najmniej 5 godzin z Martuka do Kara-Tu-Saj po śniegu głębokim do pasa.

Gdy porucznik Szczuka obudził się wcale nie zdziwił się, że nie wysiadłem w Martuku. Powiedział, że w moim opowiadaniu było więcej patriotyzmu niż narzekania i psioczenia. Był pewien, że dojadę do Armii Polskiej.

Już był późny wieczór 23 grudnia, gdy pociąg zatrzymał się na małej stacji Tock^{oje}. Porucznik Szczuka wskazał, że tu powinienem wysiąść. Podziękowałem mu za opiekę, za radę, za chleb i suchą kiełbasę życząc jemu i grupie szczęśliwego lądowania w Wielkiej Brytanii.

Na peronie było kilku podoficerów służbowo zbierających takich jak ja i kierujących nas do poczekalni. W poczekalni dowiedziałem się, że tu na stacji przenocujemy i jutro rano pójdziemy do obozu 6-tej dywizji piechoty. Na stacji można było dostać zupę, herbatę, chleb i papierosy. Pierwszy raz od 12-tego października dostałem kapuśniak na talerzu, metalową łyżkę i pokrojony chleb. Rano kaprał zrobił zbiórkę. Robiąc przegląd zauważył, że niektórzy nie wytrzymają 4-ro kilometrowego marszu i odesłał ich do poczekalni, żeby zaczekali na transport. Gdy doszedł do mnie i popatrzył na moje wiatrówki na nogach powiedział: "Człowieku... twoje pantofle nie nadają się do marszu przy 40°C mrozu... poszukam worka żebyś swoje nogi owinał".

Gdy doszliśmy do obozu kaprał zatrzymał nas przed barakiem z czerwonym krzyżem na drzwiach, gdzie była komisja lekarska. I tak wreszcie Stanisław Lachowski, po 72 dniach, w dniu 24 grudnia został przyjęty do Armii Polskiej w ZSRR z przydziałem do Zapasowego Baonu 6-tej Dywizji Piechoty w miejscowości zwanej Toc~~koje~~koje z numerem ewidencyjnym: 1920/100/III.

IV

TOCKOJE - SZACHRYZIABZ

Po przejściu przez komisję lekarską zabrano nas do magazynu, gdzie otrzymałem duże trzewiki, 2 pary wełnianych skarpetek, menażkę z łyżką i siwy koc. Z magazynu szliśmy dość długo wśród krzewów ścieżką w głębokim śniegu, która doprowadziła nas do namiotów. Tu nasz łącznik oddał całą grupę sierżantowi, który przedstawił się jako sierżant Wiatrak, szef 1-szej kompanii zapasowego batalionu 6-tej Lwowskiej Dywizji Piechoty. Sierżant Wiatrak zrobił na mnie bardzo przyjemne wrażenie. Aczkolwiek głos jego był krzykliwy i głośny, odczułem w nim wyraz opieki i troski. Widząc mnie w płaszczu szkolnym wyczułem, że zostałem

a) Zakwaterowanie. Pułk kwateruje w wysortowanych namiotach typu sowieckiego nie nadających się w żadnym wypadku do zimowania. Jedynie Dowództwo Pułku mieści się w drewnianym budynku, mocno zresztą podniszczonym.



Zimowe „kwatery” w Tockoje.

b) Oświetlenie i opał. Na terenie garnizonu Tockoje istnieją aż cztery elektrownie, wszystkie są jednak w stanie nieczynnym. Uruchomione, pracują nieregularnie, psując się bardzo często. Kompletny brak materiałów naprawczych i elementów wymiennych. Linie świetlne nie sięgają poza budynki stałe – dowództwo pułku, kasyno itp., w pomieszczeniach zaś żołnierskich (namiotach) oświetlenie w ogóle nie istnieje. Żołnierz zdany jest w tym kraju na łaskę własnej pomysłowości, toteż tu i ówdzie zaczynają zjawiać się tzw. „koptiłki” – lampki naftowe własnej produkcji, zdobycie jednak nafty do ich funkcjonowania jest wyczynem równym niemal odkryciu Ameryki. To samo dotyczy zdobywania świec. Z nadejściem przymrozków i opadów śnieżnych dołączy się jeszcze do tego drugi nie mniej trudny problem ogrzewania, więc zdobywanie opału i budowa piecy-

niem jest pilną sprawą.

f) Transport. Środki transportowe do tego stopnia były niedostateczne, że w nierzadkich wypadkach siłą pociągową stanowiła sama „bracia żołnierska” – ci silniejsi i z jakim takim obuwiem.



„Bez słów”

wyróżniony z reszty grupy. Zadał mi pytanie skąd pochodzę, do jakiego gimnazjum uczęszczałem, gdzie jest moja rodzina.

Namiot, do którego zostałem przydzielony, znajdował się wśród krzewów. Z zewnątrz wyglądał dość duży, ale po wejściu do środka ogarnęło mnie uczucie żalu, że nie wysiadłem z pociągu w Martuku i nie wróciłem do Kara-Tu-Saj. Namiot pokrywał wykop około 3 x 3 m i jeden metr głęboki. Prawie cała podłoga z wyjątkiem małej przestrzeni przy wejściu była pokryta cienkimi gałązkami, które służyły jako materace. W środku stał piec z niewypalanej cegły, w którym palił się ogień. Dym był odprowadzany kominem zrobionym z tej samej cegły co piec. Odchodził w lewo na wysokości pieca do ziemi pod ścianą namiotu. Na zewnątrz około pół metra od ściany namiotu był niski komin. Ogień w tym piecu palił się dzień i noc. Zmiana dyżuru odbywała się co 8 godzin. Do tego namiotu czterech nas zostało przydzielonych.

Komendant tego namiotu, Władysław Chmura, udzielił nam informacji

odnośnie zwyczajów i przepisów tego obozu. Powiedział, że głównym naszym zajęciem będzie zbieranie drewna na opał i marsz do kuchni trzy razy dziennie, która jest dość daleko od naszego namiotu. I tak było. W krótkim czasie był gwizdek i usłyszałem głos sierżanta Wiatraka zwołującego zbiórkę i wymarsz po obiad.

Mój pierwszy obiad w Armii Polskiej w Rosji Sowieckiej w Tockoje koło Kujbyszewa w dniu 24 grudnia 1941 roku składał się z jednej warząchwii kaszy jaglanej i nic więcej. Był rozkaz, żeby zaraz wrócić do namiotu i tam zjeść otrzymaną kaszę. Wracając do namiotu czułem straszne zimno. Okazało się, że mróz w południe był normalnie -25°C , a w nocy dochodził do -40°C . Po pewnym czasie był znowu gwizdek i sierż. Wiatrak zapowiedział zbiórkę i wymarsz do lasu po opał.

Następnego dnia tj. 25 grudnia w święto Bożego Narodzenia nie było zmian w naszym programie. Rano wymarsz po śniadanie - warząchew kaszy jaglanej, potem wymarsz po opał, obiad, znowu wymarsz po opał, kolacja, kasza i przydział chleba. Wieczorem dowiedziałem się, że w centrum obozu w 16 pułku była msza święta w której wzięli udział zdrowi i umundurowani żołnierze tego pułku. W naszej grupie tylko sierż. Wiatrak miał brytyjski mundur. Dni wlokły mi się wolno.

Na początku stycznia 1942 roku wracając z drewnem na opał poczułem się słabo i upadłem na ziemię pokrytą głębokim śniegiem. Ktoś pomógł mi wstać i dojść do namiotu. Sierż. Wiatrak, dowiedziawszy się o moim upadku, wyznaczył dwóch żołnierzy, którzy odprowadzili mnie do baraku szpitalnego w środku obozu. Na korytarzu lekarz kazał rozebrać mi się do pasa. Pamiętam jak trząsałem się z zimna. Obsłuchał mnie słuchawką i obstukał swoimi palcami. Odesłał pomocników do swojego namiotu. Ktoś w białym płaszczu zapytał mnie o nazwisko, wypełnił jakiś formularz, zabrał dokumenty, ubranie i pomógł mi wejść do łóżka. Z chwilą położenia się straciłem przytomność.

Oprzytomniałem 2-go lutego, w dzień Matki Boskiej Groźnicznej. Widzę siebie siedzącego, obserwując salę. Było dużo ludzi odwiedzających chorych. Był również ksiądz kapelan, który chodził od łóżka do łóżka. Gdy mnie zapytał na co choruję, powiedziałem że nie wiem, bo mnie nic nie boli. Nie pamiętam, co się działo na sali do 2-go lutego. Pamiętam natomiast, co mi się śniło. Do dziś pamiętam wiele snów. Najbardziej jaskrawy był sen o moim bracie Czesławie. Otóż, obserwując otwarte drzwi, zauważyłem brata idącego korytarzem. Zerwałem się z łóżka i pobiegłem do drzwi wołając "Czesiek...Czesiek...", ale nie było go tam. Nie pamiętam jak wróciłem do łóżka. Fakt ten został potwierdzony przez moich sąsiadów.

W połowie lutego dowiedziałem się, że cała 6-ta Lwowska Dywizja Piechoty już wyjechała z Tocko^{je} gdzieś na południe, że szpital też zostanie przeniesiony, ale kiedy i dokąd, nikt nie wiedział.

W dniu wyjazdu ciężko chorych wnoszono na noszach, mnie też. Ci co mogli chodzić opuścili salę pierwsi. Wagon kolejowy był taki sam, jak ten, do którego zapakowano nas w Łomży 20-go czerwca 1941 roku. Podróż była monotonna i długa. Z każdym dniem moje zdrowie poprawiało się, ale wciąż nie interesowałem się dokąd jedziemy, jakie były dni tygodnia, jak się nazywały miasta przez które przejeżdżaliśmy. Gdy usłyszałem słowo Taszkent, wtedy wiedziałem gdzie byliśmy. Był to już mój trzeci przejazd przez to miasto. Podróż trwała 8 dni i nocy.

Małe miasto, gdzie pociąg zatrzymał się i zaczęto nas rozładowywać nazywa się Szachryziabz. Zdrowsi wyszli na peron i gdy wrócili powiedzieli, że nie ma tu ani śniegu ani mrozu. Miasto jest w Uzbeckiej Republice niedaleko granicy z Afganistanem. Sala szpitalna, do której mnie przeniesiono, była dużą salą na pierwszym piętrze. Położono mnie do łóżka w rogu sali przy oknie. Były trzy rzędy łóżek. Gdy moje zdrowie poprawiło się na tyle, że mogłem stanąć na nogach przy oknie, zauważyłem dużo drzew wokoło budynku i w dali wysokie góry pokryte śniegiem. To były góry Pamir.

Moim sąsiadem był Jan Bochenczyk nauczyciel z zawodu. Lekkarzem była pani doktor. Moja prawa i lewa ręka od łokcia do ramienia były jak sito pełne dziur od zastrzyków.

Wracając myślą do ostatnich dni przed chorobą i pobytu w szpitalu w Tocko^{je} zacząłem oddzielać fakty od snów. Do dziś moje sny są bardziej wyraźne od rzeczywistości tego okresu.

Jednego dnia pani doktor, po porannym badaniu i zrobieniu zastrzyku wdała się ze mną w rozmowę. Żądała mi dużo pytań, skąd pochodzę, gdzie byłem w Związku Radzieckim, do jakich szkół

chodziłem. Po moich odpowiedziach zapytała czy mógłbym przetłumaczyć zdanie: "Terra est rotunda" - "Ziemia jest okrągła" odpowiedziałem. Więc ona powiada, że chciała się przekonać, czy moja pamięć nie została uszkodzona przez tak wysoką temperaturę, jaką miałem w pierwszych dniach choroby. Następnego dnia powiedziała, że już powinienem zacząć chodzić. Odprowadziła mnie na korytarz i powiedziała, żebym szedł sam przy ścianie i miał ręce gotowe do wsparcia, gdybym stracił równowagę. Faktycznie, moja równowaga nie była taka, jak powinna była być. Szedłem pomału jak pijany, ale nie upadłem.

Wychodząc na korytarz na spacer dwa razy dziennie przechodziłem koło łóżek i zamieniałem kilka słów z chorymi. Tylko jeden mężczyzna, około 40^{lat}, w środkowym rzędzie nie zwracał na mnie uwagi. Nie wiedziałem czy był śpiący czy nieprzytomny. Jednego wieczoru wstał, pościelił swoje łóżko, zaczął się ubierać, ale zmienił zdanie i poszedł się golić. Na sali wszyscy wyrazili zadowolenie, że stan jego zdrowia zaczął się poprawiać. Po powrocie wysuszył ręcznikiem swoją głowę, wyczyścił buty, uporządkował szafkę i obszedł wokoło łóżko kilka razy. Wszyscy odczuli ulgę, gdy się położył i życzyli stopniowego powrotu do zdrowia. Niestety rano już nie żył. "Ciesz się, że żyjesz", powiedział mi sanitariusz, który wypisując mnie ze szpitala powiedział, że moje dokumenty i rzeczy zdane w Tockoje zginęły.

Strasznie dziwnie się czułem wychodząc z budynku. Dziwny był mój nowy mundur. Wszystko wydawało mi się nowe i inne, szczególnie mój umysł. Kilka razy musiałem zatrzymać polskich żołnierzy i zapytać, gdzie jest Ośrodek Zapasowy 6-tej Dywizji. Ulice, którymi szedłem były też dziwne. Nie były brukowane i nie miały chodników. Domy były gliniane, niskie. Natomiast, w przeciwieństwie do Kazachstanu, było dużo drzew. Niektóre drzewa, wiać bez liści, były naprawdę olbrzymie. Były to włoskie orzechy.

Namioty Ośrodka Zapasowego 6-tej Dywizji zajmowały pole, dość duże, w kształcie kwadratu, przylegające do drogi, która biegła wzdłuż starego, glinianego, rozpadającego się muru. Rząd namiotów leżał daleko od drogi. W tyle za namiotami biegł mały, szybko płynący strumyk, którego woda była używana do picia i mycia.

Meldując swój powrót do jednostki, otrzymałem miłe przyjęcie od sierżanta Wiatraka. Namiot, do którego zostałem przydzielony, był zajęty przez nieznanymi mi ludźmi. Moich współtowarzyszy z Tocko^{je} już w kompanii nie było. Zostali przeniesieni do liniowych jednostek dywizji. Wnętrze namiotu wyglądało zupełnie inaczej niż namioty w Tocko^{je}. Nie było glinianego pieca i gałęzi na podłodze. Od wejścia do przeciwnej strony był wąski chodnik. Po obu stronach chodnika było 5 miejsc do spania. Na ziemi leżały koce złożone dwa razy służące jako materace. Przy zewnętrznej ścianie na "materacach" ciągnął się rząd kocy złożonych w kostkę, które były używane w nocy do nakrycia się. Na nich leżały złożone w kostkę, nieużywane części umundurowania. To wszystko wyglądało czysto i schludnie.

Wezwany do kancelarii kompanii wypełniłem formularze personalne i otrzymałem resztę umundurowania i wyposażenia. Po obiad trzeba było iść dość długo wzdłuż muru obronnego w kierunku miasta. Byłem zdziwiony, gdy otrzymałem jakąś zupe, a nie kaszę jaglaną. Po południu wydawano chleb i cukier. Podział chleba i cukru przez kaprala nie różnił się od podziału w Tocko^{je} i na barce w drodze do Nukus. Nie było żadnych ćwiczeń wojskowych, bo żołnierze nie mieli siły na nic. Byli to ludzie tacy jak ja, albo ze szpitala, z łagru lub późno zwolnieni z więzienia. Po odżywieniu się i nabraniu sił przydzielono ich do jednostek dywizji, która kwaterowała koło Szachryziabz w miasteczkach Guzar i Kitab leżących na południe od Samarkandy.

Przy końcu marca 1942 roku sierż. Wiatrak dał rozkaz, żebym zameldował się u szefa ewidencji przy dowództwie ośrodka. Dowództwo mieściło się w niskim budynku zaraz przy kuchni. Siedząca praca w biurze, blisko kuchni, pomagała mi w nabieraniu sił.

W tym samym czasie został utworzony w Ośrodku pluton składający się z młodych polskich pańienek - Pomocnicza Służba Kobiet - "Pestki" nazywane potocznie, a oficjalnie tytułowane "Ochotniczki". I tak jednego dnia zameldowała się do pracy w biurze ochotniczka Halina Niemirycz, która wraz z rodzicami została wywieziona do Rosji z okolic Augustowa, gdzie była uczennicą średniej szkoły. Przyjaźń między nami zaczęła się, mogę powiedzieć, zaraz po spotkaniu. Codziennie po pracy wracaliśmy razem do obozu. Nasza pierwsza randka miała miejsce w pierwszą niedzielę po spotkaniu. Spacerując drogą, wzdłuż obronnego muru, Halina powiedziała żebyśmy gdzieś siedli, bo ona ma coś dla nas. Miała 4 jajka, pudełeczko cukru i dwa kawałki ciasta. Miała również dwa kubki i widelec do ubicia kogla-mogla. Jaka to była uczta. Do końca naszej randki rozmowa obracała się tylko wokół jedzenia.

Na początku kwietnia ks. kapelan Narcyz Turulski przybył do Ośrodka. Z miejsca przystąpiono do budowy ołtarza w środku pola między namiotami a drogą. W niedzielę odbyła się zbiórka całego obozu, włączając pluton ochotniczek. Dowództwo nad całością objął z pompą por. Teofil Stępień. Ks. kapelan przybył do ołtarza w komży ze stulą bez ornatu. Na ołtarzu były już ampułki z winem i wodą, kielich przykryty białym nakryciem i brewiarz, który miał służyć jako mszał. Zaciekawilo mnie to, że nie było przy ołtarzu ministranta. W tej chwili kapelan zwrócił się twarzą do zebranych jednostek i zapytał czy jest ktoś, kto umie służyć do mszy świętej. Ponieważ minęło już 8 lat od czasu kiedy służyłem do mszy po raz ostatni, nie miałem

zamiaru zgłosić się. Ale ponieważ nikt inny nie zgłosił się, więc ja regulaminowo wystąpiłem trzy kroki naprzód i podszedłem do ołtarza. Byłem bardzo zdziwiony, gdy po słowach kapelana "Introibo ad altarem, Dei" /Przystąpię do ołtarza Bożego/ odpowiedziałem "Ad Deum qui laetificat juventutem meam" /Do Boga, który uwesela moją młodość/ bez żadnego wahania się. Od tego dnia stałem się ważną osobą. Byłem zwalniany z pracy w ewidencji kiedykolwiek kapelan mnie potrzebował. Z początkiem maja zostałem zwolniony z pracy by być gotowym do dyspozycji kapelana w każdej chwili. Nawet otrzymałem dwie panienki z plutonu PSK każdego popołudnia żeby pomagały mi w zbieraniu w polu kwiatów na przybranie ołtarza na nabożeństwa majowe, które odbywały się każdego wieczora.

Moja przyjaźń i kogel-mogel, romans z Haliną rósł. Były to najlepsze dni w mojej dotychczasowej karierze wojskowej. Miesiąc maj 1942 roku był bardzo ważnym miesiącem w moim życiu. Niespodziewanie 3-go maja zostałem awansowany do stopnia starszego strzelca. W połowie miesiąca wysłano mnie do Centrum Wyszko- lenia na egzamin wstępny do Szkoły Podchorążych. Nigdy nie zapomnę tego egzaminu. Najpierw musieliśmy wypełnić formularze podając szczegółowo wykształcenie. Było nas około 10 kandydatów. Egzaminator ułożył wypełnione formularze alfabetycznie i zapytał Borkowskiego, po przestudiowaniu jego formularza, jak się nazywa zewnętrzna część ucha. Niestety on nie umiał odpowiedzieć. Po krótkiej chwili egzaminator zapytał ogólnie o to wszystkich. Podniosłem rękę i powiedziałem: "Zewnętrzna część ucha nazywa się małżowina uszna". Egzaminator zapytał o moje nazwisko i po przestudiowaniu mego formularza powiedział, że zdałem egzamin i mogę wyjść z sali. Oczywiście moja odpowiedź potwierdziła poziom mego wykształcenia podanego w formularzu.

Sierż. Wiatrak, gdy dowiedział się o przebiegu egzaminu, złożył mi gratulacje. Nowy komendant Ośrodka Zapasowego 8-tej Dywizji, w stopniu pułkownika, wprowadził wiele zmian. Zamieszkał w nowo postawionym małym namiocie po prawej stronie ścieżki prowadzącej od drogi do namiotów. Często byłem w jego namiocie z papierami do podpisu. Nie pamiętając jego nazwiska chciałbym powiedzieć, że był on człowiekiem budzącym zaufanie i szacunek do swojej osoby. Rosjanie trzymali go w więzieniu 9 miesięcy dłużej. Powinien był być zwolniony w sierpniu lub we wrześniu 1941 roku a był już maj 1942. W każdej rozmowie, nie tylko ze mną,, pułkownik miał dużo do powiedzenia o pszczołach. Pszczoły były jego ulubionym tematem. Podziwiałem fakt, że nigdy nie powtarzał czegoś, o czym już mówił poprzednio. W każdej rozmowie było coś innego, coś nowego, zawsze interesującego. Na pewno nie będzie zapomniany przez byłych żołnierzy i ochotniczki Ośrodka za wprowadzenie wspólnych obiadów każdego czwartku i niedzieli. Nie wiem skąd otrzymał deski, z których zostały zrobione długie stoły i ławki. Zostały ulokowane przy kwaterach ochotniczek. Każdego czwartku i niedzieli wszyscy, włączając pułkownika i ochotniczki siadali przy stołach by zjeść obiad "kulturalnie", a nie jak zwykle stojąc koło kotków przy kuchni. Nie wszystkim to podobało się, ale pułkownik twierdził, że każdy Polak powinien zachowywać się kulturalnie bez względu na warunki i otoczenie. Ponieważ kuchnia była dość daleko od obozu szef wybrał żołnierzy, którym mógł ufać, do przeniesienia zupy w wiadrach z kuchni do stołów. Byłem jednym z wybranych. Gdy kucharz nalewał zupę do moich wiader, zauważyłem kawałki, podobne do mięsa. Idąc do obozu myślałem tylko o tych kawałkach mięsa. Jak by to było cudownie, gdybym mógł złapać przynajmniej jeden kawałek i zjeść go. Uderzyła mnie myśl żeby spróbować. Obejrzałem się do tyłu, by zobaczyć jak daleko jest następny

żołnierz z wiadrami. Nie widząc nikogo blisko, zatrzymałem się, postawiłem wiadra na ziemi i włożyłem rękę do gorącej zupy. Nie złapałem nic z wyjątkiem bólu. Idąc dalej nie mogłem pozbyć się tej myśli. Za drugą próbą też nic nie złapałem. Nie złapałem też nic następnego wspólnego obiadu. Dopiero w trzecim tygodniu złapałem kawałek wątroby. Dziś, myśląc o tym, czasami wstydzę się, czasami współczuję sobie, że poparzyłem swoją rękę za nic, czasami myślę, że gdyby sytuacja się powtórzyła, to zrobiłbym to samo tylko może z większym sukcesem, łapiąc kawałek czegoś za każdym razem.

Temperatura w Szachryziabz wzrastała z każdym dniem maja. Mając dość dużo wolnego czasu między nabożeństwami, wychodziłem z obozu na spacer wzdłuż strumyka, który przepływał koło dużego pola z cebulą. Szczypior był smaczny i było go dużo. Jednej niedzieli po powrocie z wyprawy na szczypior powiedziano mi, że był tu Jan Mierzejewski i pytał o Lachowskiego od Łomży. Zostawił w namiocie kartkę, na której było napisane: Jan Mierzejewski, Kompania Unitarna, Szkoła Podchorążych 6-tej Dywizji Piechoty, Szachryziabz.

Jan Mierzejewski, urodzony w 1919 roku w Lubach-Kurkach i ja byliśmy przyjaciółmi, wydaje mi się, od roku 1932. Byliśmy razem ministrantami w kościele w Miastkowie. Ponieważ on był o rok starszy ode mnie, wcześniej skończył szkołę powszechną i wstąpił do Kolegium św.Fidelisa w Łomży, do którego ja, za jego namową, również wstąpiłem rok później. Kolegium św.Fidelisa było przy klasztorze OO Kapucynów przy ulicy Krzywe Koło. Dyrektorem szkoły był O.Bonawentura, pochodzenia holenderskiego. O.Jan Ewangelista, wychowawca całości, był też Holendrem, jak również O.Idzi, gwardian klasztoru, wykładowca i drużynowy 4-tej Drużyny Łomżyńskiego Hufca Harcerskiego, Harcmistrz Czesław Zieliński, komendant hufca łomżyńskiego przed wojną, był w 16

Lwowskim Batalionie Strzelców, gdy byliśmy w Iraku w miejscowości Quizill-Ribat i Kirkuk, jako inspektor oświatowy przy dowództwie batalionu. Potem został przeniesiony do dowództwa dywizji. Rozmawiałem z nim w połowie maja 1944 r. w południowych Włoszech będąc w szpitalu po odniesieniu rany na Monte Cassino, po raz ostatni.

Poziom nauki w Kolegium był bardzo wysoki. Wiedza ucznia z małą maturą równałaby się wiedzy ucznia z dużą maturą w dzisiejszej Wielkiej Brytanii. Przeciętny poziom zdolności uczniów też był dużo wyższy od przeciętnej zdolności uczniów w innych szkołach. Uczniowie o rok starsi ode mnie uczyli się na starym programie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i mieli następujące obowiązkowe przedmioty: języki - polski, łaciński, grecki, francuski, niemiecki; historię, geografie, matematykę /algebra i geometria/, fizykę, chemię, biologię, religię, muzykę, gimnastykę. W moim pierwszym roku grecki nie był już obowiązkowy i po roku mieliśmy wybór dalszego studiowania francuskiego albo niemieckiego. Wybrałem francuski. Poza zajęciami lekcyjnymi były możliwości wzięcia udziału w chórze albo orkiestrze szkolnej lub uczyć się gry w szachy, w bridge'a, pin-ponga, bilarda albo należeć do drużyny harcerskiej. Program dnia był tak urozmaicony, że nie było czasu na nudę. Oprócz tego były wycieczki do lasu Jednaczewskiego co najmniej dwa razy w tygodniu, gdzie graliśmy w piłkę nożną. Jan Mierzjewski był geniuszem we wszystkich przedmiotach. Ale w czasie okupacji radzieckiej na początku 1941 roku, przed naszą deportacją, został wciągnięty do Armii Czerwonej. Po układzie Polsko-Radzieckim w Londynie 30.VII.1941 r. został zwolniony ze Szkoły Oficerskiej armii radzieckiej i wstąpił do Armii gen.W.Andersa.

Idąc do Szkoły Podchorążych w Szachryziabz w następną niedzielę wszystkie te myśli i wspomnienia krążyły w mojej głowie

bez przerwy. Moment naszego spotkania był bardziej dramatyczny ze strony Janka niż mojej. On spodziewał się spotkać mojego, starszego brata Kazimierza, który był w więzieniu w Łomży, a nie mnie. Oczywiście radości było dużo. On miał dużo do powiedzenia o swoich przeżyciach tak samo jak ja. Kulminacyjnym punktem naszego podniecenia był moment spotkania Tadeusza Tabędzkiego, też z Łomży, internata kołgium św. Fidełisa. Któż by się spodziewał, żeby trzech łomżyniaków spotkało się w ziemskim piekle, tysiące kilometrów od Łomży w Szachryziabz, Uzbeckiej Republice niedaleko granicy z Afganistanem.

W połowie czerwca 1942 roku wielkim wydarzeniem i dużą manifestacją Polaków i Polskiego Wojska był przyjazd z Londynu Biskupa Polowego Józefa Gawliny. Przygotowano, na podniesieniu, duży ołtarz na placu za miastem. Oddziały wojskowe ustawiły się przed ołtarzem. Wokoło było dużo rodzin polskich i zesłańców innych narodowości jak Polacy, nawet byli i Uzbekcy. Po mszy świętej biskup Gawlina udzielił sakramentu bierzmowania.

Za kilka dni zostałem odkomenderowany z Ośrodka Zapasowego do Szkoły Podchorążych 6-tej Lwowskiej Dywizji Piechoty w Szachryziabz. Żegnając się ze współtowarzyszami namiotu, z sierżantem Wiatrakiem, którego już więcej nie spotkałem i z ks. Kapelanem znowu odchodziłem w nieznane. Smutno było mi rozstać się ze Zdzisławem Korzeniowskim, którego rodzina została wywieziona do kołchozu sąsiadującego z Kara-Tu-Saj. Zdzisław Korzeniowski był chyba jedynym polskim żołnierzem, który dostał urlop z powrotnym biletem kolejowym na wyjazd do Martuka. Powrócił z dużym workiem suszonego chleba od mojej rodziny dla mnie. Przez kilka dni byłem bardzo popularnym w drużynie.

W czasie pobytu Szkoły Podchorążych w Szachryziabz nie ważnego nie zaszło. Praktycznych zajęć prawie nie było w ciągu dnia, bo było za gorąco. Mieliśmy tylko wykłady w cieniu olbrzymich

drzew orzechowych. Wyżywienie nie było lepsze od żywności w Ośrodku Zapasowym lub innych Oddziałach, gdyż wydzielano żywność z wojskowych przydziałów na żywienie polskiej ludności cywilnej.

W sobotę przy końcu lipca komenda szkoły zorganizowała taneczną zabawę dla uczniów podchorążych, by dać im możliwość praktyki tańca a również i oficerskiego zachowania się wobec pań. To było coś w rodzaju "Majówki" na trawie" bardzo popularnej w przedwojennej ziemi łomżyńskiej. Dość duży krąg twardej, suchej, beztrawnej ziemi został wyrównany i siedzenia dla orkiestry przygotowane. Przywieziono pluton ochotniczek z Ośrodka Zapasowego, włącznie z Haliną Niemirycz. Przed rozpoczęciem szef szkoły przypomniał nam, jak podchorąży ma się zachować wobec pań i starszych stopniem podchorążych i oficerów. Nie wiadomo skąd wielu młodych i starszych podchorążych okrzyknęło ochotniczki i orkiestrę. Jakiś porucznik przystawił się do mojej Haliny, co mi od razu nie spodobało się. Reszta panienek w krótkim czasie została też zaangażowana. Jak orkiestra zaczęła grać to tylko oficerowie tańczyli. Tak było przez cały wieczór. Halina przyszła do mnie kilka razy i tańczyliśmy ścisło. Po zakończeniu zabawy komendantka plutonu ochotniczek miała trudności z zebraniem ich do odjazdu. Dyskutując przebieg zabawy w namiocie /3-ciej drużyny, pierwszego plutonu/ okazało się, że tylko ja jedyny z drużyny tańczyłem. Byłem dwa metry wysoki ze świadomością, że Halina przepada za mną. Tylko raz spotkaliśmy się przed wyjazdem do Persji. Po reorganizacji 6-tej dywizji, która stała się 6-tą brygadą w Iraku, Halina została przydzielona do 17-tego Lwowskiego Batalionu Strzelców. Tam poznała młodego podporucznika i z nim ożeniła się. Koniec wielkiego romansu.

Długo zapowiadany wyjazd z Rosji do Persji rozpoczął się 22-tego sierpnia 1942 roku ze stacji kolejowej w Szachryziabz, znowu w nieznaną, ale tym razem wiedziałem gdzie będzie koniec

tej podróży. Jakby na zamówienie, po wielu godzinach jazdy, pociąg zwolnił szybkość dojeżdżając do Farabu i mostu na rzece Amu-daria. Rzeka z wysokości mostu kolejowego wydawała się być dużo szersza niż patrząc na nią z ziemi. Wyglądała pięknie, wolno płynąca, niewinna, nieświadoma cierpień jakich doznały tysiące ludzi płynąc na niej z Farabu do Nukusa i z powrotem jesienią ubiegłego roku.

Następnego dnia pociąg zatrzymał się na stacji w mieście Mary. Wiadomość podana z wagonu do wagonu informowała, że mamy iść grupami do miasta na obiad. Restauracja, do której nas doprowadzono, nie różniła się od restauracji w Nukusie. Trzy rzędy stołów, po osiem miejsc, zamiast krzeseł były ławki. Przy wejściu każdy dostał drewnianą łyżkę, którą trzeba było zwrócić przy wyjściu. Nie pamiętam co dostaliśmy do jedzenia, ale z obiadu byliśmy zadowoleni. Dalsza podróż była monotonna. Pociąg zatrzymywał się często na małych stacyjkach, by przepuścić pociągi jadące w przeciwnym kierunku. W wagonach była cisza. Każdy z nas miał o czym myśleć. Ja martwiłem się o moją rodzinę w Kazachstanie. Trudno było przewidzieć co się z nią stanie. W ostatnich moich listach /nawet nie wiem, czy je otrzymali/ pisałem o wyjeździe setek tysięcy Polaków ze Związku Radzieckiego do Persji. Pisałem, że jeśliby chcieli i mogli, aby przyjechali do Krasnowodska nad morzem Kaspijskim, gdzie gen. Berling kieruje bazą i transportem Polaków do Persji. Osoba gen. Berlinga jest otoczona wieloma tajemnicami. Jedni twierdzą, że był rosyjską wtyczką i agentem NKWD inni, że gen. Anders rozkazał mu pozostać w Rosji, by ratować pozostałych Polaków. Faktem jest to, że nigdy nie słyszałem ani nie czytałem żeby gen. Berling był atakowany przez gen. Andersa lub ówczesną prasę polską na Środkowym Wschodzie.

Prawie każdy z nas zostawił tu kogoś żywego lub zmarłego.

W Szachryziabz pozostał duży cmentarz, a na nim pochowani cywile i wojskowi, włączając dwie młode panienki, które były uczennicami Szkoły Podchorążych. Nie wiem ile osób zostało tam pochowanych, ale mogę powiedzieć, że ich lista jest w Instytucie gen. Sikorskiego w Londynie, 20 Princes Gate, London SW7 1PT. W opracowaniu "Na szlaku Kresowej" nr 48 grudzień 1991 na stronie 40, podano, że od 10 września 1941 do 20 sierpnia 1942 tj. do dnia wyjazdu z Kitab do Persji w 16 pułku piechoty /późniejszy 16 L.B.S./ zmarło z powodu chorób 483 oficerów i szeregowych. Przed wyjazdem Armii z Uzbekistanu nabożeństwa żałobne zostały odprawione w Szachryziabz, Kitab, Guzar, Jangi Jul. Na nabożeństwie 16 pp w Kitab artystka Teatru Dramatycznego deklamowała wiersz mego kolegi Józefa Szweda pod tytułem "Cieniom poległych" opublikowany w "Kronika, 16 Lwowski Batalion Strzelców" na stronie 37, również w "Sybiracy" nr 3 z dnia 5 stycznia 1991 r. na stronie 17.

Józef Szwed z Grodna - Syberia - Środkowy Wschód - Włochy - mieszka obecnie w Wembley. W lutym 1991r. został udekorowany przez prezydenta RP Lecha Wałęsę na zamku w Warszawie Złotym Krzyżem Zasługi za całokształt pracy społecznej i literackiej.

CIENIOM POLEGŁYCH

Zapędzeni falami burzliwego losu

Na krańce obcej ziemi nieznannej, dalekiej ...

Brutalną ręką śmierci, jak kwiat u pokosu

Ścięci legliście tutaj na zawsze... na wieki...

Zgon wasz nie oświetliły rozbłyśki rakiety

Pękające granaty, huk bomb ni dział grzmoty,

Ni błysk skrwawionej stali w szturmie na bagnety,

Ni deszcze kul, którymi zieją samoloty.

Rozłączyła Was z nami śmierć cicha, ponura,

Nie ta - co strąca z nieba potomków Ikara,
Nie ta - co trupem kładzie ułana, piechura...
Lecz ta cywilna, prosta, codziennością szara.

Zły los skąpił Wam szczęścia ujrzeć Kraj Ojczysty

W tryumfie jego chwały, potęgi rozkwicie...

Żegnajcie - niech Bóg da Wam pokój wiekuisty

I cudne sny o Polsce, do której tęsknicie...

Pójdziemy bez Was - poprzez sine dale,

Poprzez kraje nieznane, morza, góry, rzeki,

Poprzez piaski pustyni, oceanów fale,

Ku tej - dla której biją w nas serca na wieki ...

Poświstem kul złowieszczych, dział bitewnych grzmotem,

Hukiem bomb i granatów, zemsty krwawej ciosem,

Luną krwi i pożarów, motorów łoskotem,

Echem bojów zwycięskich, tryumfu rozgłosem.

Staniemy u Jej granic - niezłomni rycerze,

By o Was wieść przekazać przyszłym pokoleniom,

Że tam w Uzbekistanie Wy - Polscy Żołnierze,

Trzymacie straż wieczystą - Pokój Waszym Cieniom.

podch. Józef Szwed

Kitab, Uzbekistan, 17 sierpnia 1942 r.

Rano 24.VIII.42 r. dojechaliśmy do morza Kaspijskiego. Pociąg biegł wzdłuż niego przez długi czas. Zatrzymał się na bocznicy tuż przy morzu, daleko od portu i miasta. Po wyładowaniu się, nasze ciężkie plecaki zostały ułożone na kamienistej plaży. Na posiłek mieliśmy suchy prowiant. Siedząc na plaży, na gorących kamieniach, z zwrastającą temperaturą wielu rozebrało się i weszło do wody. Woda była czysta i ciepła, bardzo nęcąca. W końcu ja też się rozebrałem i wszedłem do wody. Po kilku godzinach

czekania przyszedł rozkaz na przygotowanie ^{się} do odmarszu. Dwa konne wozy z rosyjskimi woźnicami zostały dostarczone do naszej kompanii. Dowódca kompanii porucznik Tadeusz Pawulski rozkazał zbiórkę plutonami, a nie według wzrostu. Będąc w 3-ciej drużynie 1-go plutonu stałem 4-ty w 3-cim rzędzie. Por. Pawulski przeszedł wzdłuż kompanii od początku do końca i z powrotem. Ogłosił, że te dwa wozy zabiorą tych, którzy nie mają sił na 5-cio kilometrowy marsz do portu i zaczął wywoływać nazwiska. Ja niestety nie byłem wywołany. Gdzieś w połowie drogi por. Pawulski zatrzymał kompanię na odpoczynek. Zaraz zacząłem się trząść. Dobrze znany objaw malarii. Przed odmarszem ktoś krzyknął do d-cy kompanii: "Lachowski ma malarię", por. Pawulski odpowiedział: "To niech zostanie", Marsz był długi. Trzęsło mnie i zimno mi było, mimo że dzień był upalny. Szedłem coraz wolniej. Zostawałem coraz dalej za pierwszym plutonem. Znalazłem się przy końcu 3-go plutonu. Janek Mierzejewski zasugerował, żebym trzymał się jego plecaka. Po kilku minutach zahaczyłem się do plecaka Tadeusza Tabędzkiego i tak zmieniając wsparcie w końcu doszedłem do portu. Okręt wyglądał jak olbrzym. Idąc do góry po schodach wydawało mi się, że są one co najmniej kilometr długie. Zaraz przy wejściu na pokład tego okrętu stali sanitariusze z opaskami czerwonego krzyża na rękawach. Jeden z nich zauważył, że się trzęsę w ataku malarii i wziął mnie pod opiekę.

Niestety pokład był zupełnie zajęty przez stojących żołnierzy i nie było nawet siedzącego miejsca. W końcu znaleźliśmy małą, wolną przestrzeń pod schodami. Dał mi tabletkę chininy i powiedział, że wróci później. Gdy wrócił zimne dreszcze już się kończyły i temperatura zaczęła wzrastać i zacząłem się pocić. Obudziłem się zupełnie mokry, czułem się dość dobrze, ale początkowo nie wiedziałem gdzie jestem.

Około południa 25 sierpnia 1942 roku okręt stanął niedaleko

wejścia do portu Pahlavi w Persji. Okazało się, że był za duży do wejścia do portu i mola. Musieliśmy przeładowywać się do barek, które przewiozły nas do mola. Zapakowano nas pod pokład jak śledzie do beczki. Żelazny pokład nad nami i ściany były bardzo gorące. Powietrza w środku prawie że nie było. Gałe szczęście, że podróż była bardzo krótka, bo ci co weszli pod pokład pierwsi, byli prawie już na wykończeniu.

Żałuję, że moment wyjścia z tej piekielnej, nieludzkiej ziemi na wolną ziemię Persji nie utrwalił się mocniej w mojej pamięci. Ówczesna chinina, obrzydliwa w smaku, była dobra na kurację malarii, ale miała też ujemne skutki na organizm, szczególnie słuch. Byłem po prostu półgłuchy i obojętny na to co się działo wokół mnie.

V

Pahlavi - Neapol

W pierwsze dni pobytu na piaszczystej plaży morza Kaspijskiego w Pahlavi większość żołnierzy wędrowała po ryż i barani-
nę od kuchni do kuchni. Kuchnie pracowały całą dobę gotując prze-
ważnie ryż z baraniną. Trzeciego dnia po ataku malarii zacząłem
też wędrować z menażką. Jak było przyjemnie usłyszeć, gdy ku-
charz po wydaniu porcji zapytał, czy chcę więcej? Po trzech
porcjach wróciłem do namiotu, który był pusty. Każdy w druży-
nie widocznie miał więcej niż trzy porcje.

Po kilku dniach d-ca kompanii zarządził zbiórkę plutonami
na gimnastykę. Wolnym biegiem /pierwszy od długiego czasu/ do-
tarliśmy do morza. D-cy plutonów, pokarmieni ryżem i baraniną,
wydawali rozkazy i instrukcje z dużo większym entuzjazmem, o
wiele mocniejszy był ich głos i ich ruchy były o wiele spraw-
niejsze. Niedaleko od miejsca naszej gimnastyki Persowie

rozłożyli stragany z najrozmaitszymi artykułami. Ruch żołnierzy, cywilów różnego wieku i dzieci w obu kierunkach do tego "Supermarkietu" trwał cały dzień. Jednego dnia w czasie gimnastyki zauważyłem panią, która wydawała się być moją nauczycielką ze szkoły powszechnej w Miastkowie... Tak, to była pani Helena Kontrymowa, deportowana tym samym transportem co my do Kazachstanu.

Na początku września, dobrze odżywiona kompania otrzymała rozkaz, zabrać ze sobą umundurowanie, szmatki, gałganki i maszerować do łaźni. Byłem bardzo zdziwiony i zdumiony urządzeniem przenośnych natrysków w namiotach z gorącą wodą. Przy wejściu trzeba było zdać dokumenty, rozebrać się i zostawić swoje rzeczy. Wyjście było z innej strony. Tu dostaliśmy zupełnie nowe umundurowanie, bieliznę, koce itd. /stare rzeczy zostały oblane benzyną i spalone/.

Według kroniki 16 LBS Szkoła Podchorążych wraz z innymi oddziałami 6-tej Dywizji opuściła Pahlavi 11 września 1942 roku. Załadowani na duże ciężarówki, po około 20 osób na jedną, jechaliśmy w kierunku Qazvin. Krajobraz był piękny, lekko górzysty, zadrzewiony z daleką widocznością. Nocleg mieliśmy w obozie wojskowym w Qazvin. Następny nocleg był w Hamadan. Droga między Hamadan a Kermanszah, gdzie znowu nocowaliśmy, była pełna podnieceń, bo była górzysta z masą ostrych, obniżających albo pnących się do góry, wiraży. Po przekroczeniu granicy Iraku konwój zatrzymał się w obozie Chanakin. Po kilku tygodniach pobytu w tym obozie zostaliśmy przeniesieni do obozu w Quizil-Ribat w dniu 13 października 1942 roku. Płaska pustynia nie wyglądała zachęcająco. Najlepszym wydarzeniem w Quizil-Ribat było otrzymanie żołdu za okres od pierwszego dnia w Pahlavi do dnia bieżącego. Jako starszy strzelec otrzymałem tylko kilka groszy mniej od kaprała. Do zasadniczego żołdu doszedł dodatek kolonialny

według przepisów brytyjskich. Jaki byłem bogaty!. Wydatków żadnych nie było. Wszystko, co było potrzebne wydawane było z prowiantem, włączając papierosy. Do miasta nie można było dostać przepustki, bo dowództwo twierdziło, że w każdym arabskim mieście panowały ^{szk}zakazne choroby.

Ćwiczenia zaczęły się na dobre. Cała armia przechodziła na organizację brytyjską. Powstały nowe jednostki. 6-ta dywizja stała się 6-tą Lwowską Brygadą Piechoty, 5-ta dywizja stała się 5-tą Wileńską Brygadą Piechoty. Obie Brygady weszły do 5-tej Kresowej Dywizji Piechoty, z Żubrem jako jej symbolem.

Na rocznicę Powstania Listopadowego w środku obozu szkoły został wystawiony pomnik Podchorążego z gliny i wody. Nie wiem, kto był architektem lub rzeźbiarzem, ale mogę powiedzieć że całość wyglądała imponująco. Osoba Podchorążego, klęczącego i wyciągniętą ręką wskazująca kierunek natarcia, była na czworoboku około 2 metrów wysokim. Mimo deszczów w zimie przetrwał do wiosny.

Oprócz ćwiczeń bojowych i wykładów dużą wagę przywiązywano do musztry, bo bardzo często Szkoła była używana jako kompania honorowa na przyjazdy generałów polskich i brytyjskich. Dawałem sobie radę ze wszystkim z wyjątkiem musztry. Na każdą komendę "Na ramię broń" lub "Prezentuj broń" moja głowa się ruszała, zamiast być bez ruchu. Po wielu złośliwych uwagach jak "Lachowski nie ruszaj swoją kapuścianą głową gdy prezentujesz broń" itp. musiałem po zajęciach, za namiotem ćwiczyć przez 20 minut każdego dnia. Mimo to moja głowa wciąż się ruszała. Jednego dnia, gdy ćwiczyłem na ramię i prezentuj broń, szef Szkoły przechodząc zatrzymał się i zapytał jaką karę odbywam. Powiedziałem mu że moja głowa rusza się gdy biorę na ramię lub prezentuję broń. Więc on podszedł do mnie, stanął przodem do mojego boku i jedną rękę położył wysoko na moim karku i powiedział

żebym się lekko zgiął w biodrach do przodu. Od tego czasu nie miałem żadnego kłopotu z moją głową.

Przed zakończeniem szkoły wszyscy uczniowie i kadra przeszli kurs samochodowy /jazda i małe reperacje/. Szkoła skończyła się 11 marca 1943 roku. Zostałem awansowany do stopnia kaprała podchorążego i przydzielony do 16 Lwowskiego Batalionu Strzelców /d-ca ppłk.Zygmunt Szafranowski, następnie mjr Włodzimierz Latawiec, potem mjr Andrzej Stańczyk/ pierwszej kompanii /d-ca kpt Zygmunt Kledzik/ pierwszego plutonu, trzeciej drużyny.

Tak się złożyło, że moi łomżyńscy przyjaciele, Janek Mierzejewski został przydzielony do 4-tej kompanii 16 LBS, a Tadek Tabędzki do kompanii dowodzenia do plutonu karriersów. I tak byliśmy wciąż razem.

Na początku kwietnia cały garnizon obozu Quizil-Ribat został przeniesiony do obozu w Kirkuk w Iraku. Oprócz normalnych zajęć i ćwiczeń batalion strzegł rafinerię i miejscowe szyby ropy naftowej. Tu dowiedziałem się, że moja nauczycielka z Miastkowa, pani Helena Kontrym jest szefem zaopatrzenia 316 Kompanii Transportowej /żeńskiej/.

Gdy przyszedł lipiec i sierpień było tak gorąco, że od godz. 10-tej do 16-tej nie było żadnych zajęć. Mieliśmy korkowe hełmy, bez których nie wolno było wychodzić z namiotów w tym czasie. W dniu 15 lipca 1943 r. 5-ta Kresowa Dywizja zebrała się na żałobne nabożeństwo za spokój duszy śp.gen.Władysława Sikorskiego. Po nabożeństwie przemówił d-ca Dywizji płk.Nikodem Sulik późniejszy generał.

Podczas ostrego strzelania w naszej kompanii z moździerza czopowego "Spigot" w dniu 28.VII.1943 r. zaszedł tragiczny wypadek przy którym byłem obecny. Pocisk wybuchł zaraz po

opuszczeniu lufy. Było 7 ciężko rannych i 9 lżej. Sierż. Józef Matysiak i kpr Grynin zmarli w szpitalu tego samego dnia. "Spi-got" został wycofany z uzbrojenia.

Przy końcu lipca grupa kierowców, przeważnie podchorążych, została wysłana pociągiem przez Bagdad do Basry by odebrać i przy prowadzić małe i duże ciężarówki dla naszego batalionu i ciągniki artyleryjskie dla brygadowej artylerii. Basra, duże miasto, leży w delcie Eufratu i Tygrysu. Byłem naprawdę zdziwiony wielkością tej bazy. Było tu wszystko co armia potrzebowała od igły do samolotów. Duża, żółtego koloru, ciężarówka "Dodge" została mi przydzielona i nią po tygodniu, przez pustynię, bez oznaczonych dróg, w konwoju, przyprowadziłem do batalionu w Kirkuk.

Od dłuższego czasu krążyły pogłoski o wyjeździe całej armii, która stała się II-gim Korpusem, do Palestyny. D-ca 6-tej Lwowskiej Brygady płk. Klemens Rudnicki zwołał na odprawę oficerów i podchorążych całej Brygady, na której omówił wyjazd, trasę i prace na nowym miejscu postoju. Bez podchorążych II-gi Korpus nie byłby tym czym był. Pełni patriotyzmu i entuzjazmu wykonywali prace, za które oficerowie dostawali promocje i medale.

Chciałbym dodać uwagi o pułkowniku i późniejszym generale, który wciąż żyje w Londynie, Klemensie Rudnickim. Otóż uważam gen. Rudnickiego za najzdolniejszego wśród wyższych dowódców w II-gim Korpusie. Oprócz tego jest człowiekiem prawym, szczerym, wyrozumiałym, mówiącym prawdę. W jego przemówieniach każde słowo ma wartość i znaczenie. Mimo podeszłego wieku wciąż przybywa na zjazdy kół batalionowych. Jestem dumny że służyłem pod jego dowództwem.

Podróż własnym transportem z Kirkuku przez Bagdad i Annan w Jordanii do Maghazi koło Gazy w Palestynie trwała 7 dni. Nasze miejsce postoju znajdowało się przy głównej drodze z Egiptu do

Jerozolimy i Tel-Awihu. Klimat był lepszy. Było trochę wilgoci w powietrzu. Teren nie był tak pusty jak w Iraku. Dowództwo Korpusu zajęło obóz koło miasteczka Rechowot. Tu była też 316 Kompania Transportowa, w której pani Kontrymowa z Miastkowa była szefem zaopatrzenia. Rechowot^o jest miastem czysto żydowskim. Leży między Jerozolimą a Tel-Awivem. Ma piękne kawiarnie, bary, sklepy i czyste ulice. Język polski jest wszędzie znany. Tel-Awiv, duże miasto, nad morzem Środkowym, piękne i czyste z dużą plażą zawsze było pełne żołnierzy najrozmaitszych narodowości i armii. Tu wojsko spędzało week-end i urlopy.

Pierwszej niedzieli wybrałem się do Rechowot by odnaleźć panią Kontrym. Bez trudności autostopem dojechałem do Rechowot i odnalazłem obóz Ochotniczek 316 kompanii Transportowej. Pani Kontrymowa rozplakała się z radości witając mnie. Od tego czasu otaczała mnie matczyną opieką. Dla mnie to spotkanie było olbrzymią podporą duchową. Od tego czasu nie czułem się tak samotnie. Miałem wiele korzyści materialnych i duchowych z naszej matczynej i synowskiej przyjaźni. W jej namiocie poznałem wiele młodych pań. Z jedną z nich /Felicją/ chciała mnie koniecznie ożenić. Ale ja o tym jeszcze nie myślałem. Wracając do obozu w Gazie po każdej wizycie byłem obładowany czekoladami, owocami i papierosami. Wydaje mi się, że był to może najlepszy okres w moim życiu wojskowym na Środkowym Wschodzie. Wiedza, że wizytując panią Kontrym daje jej możliwość wyładowania matczynych uczuć, zmuszała mnie do odwiedzenia jej i jej otoczenia jak najczęściej.

Kapelan batalionu zaczął organizować wycieczki do miejsc związanych z Chrystusem. Zwiedziliśmy Betlejem i całą Jerozolimę włączając Via Dolorosa, kościoły, Górę Oliwną i Golgotę, Grób Chrystusa itd. Byłem bardzo zdziwiony, gdy polskie żydówki kusily żołnierzy do grzechu w dużym tłoku na Drodze Krzyżowej.

Najwięcej jednak podniecenia było wieczorem w namiocie gdy ci, co się odłączyli od wycieczki wrócili autostopem i zaczęli opowiadać, gdzie byli i co robili. Wyszło na jaw jak były owane te Żydówki. Jedna wersja: "jak tylko się rozebrałem to ona mówi że ja jestem dla niej za duży. Takiego dużego jeszcze nigdy nie widziała i zażądała żebym wyszedł albo dołożył 500 milsów więcej. Więc ja dumny, bardzo dumny, dodałem jej całego funta extra". Inni potwierdzili tę samą historię. Najbardziej poszkodowany był najmłodszy Jarek. Było ich 3-ech. Wykończył się, jak tylko został dotknięty, w jej ręce... forsy mu nie zwróciła... Wrócił niewinny taki jak był

Innego dnia zwiedziliśmy Nablus, Nazaret, Morze Galilejskie. W batalionie zachodziły duże zmiany. Wielu oficerów odeszło na rozmaite kursy. Wielu nowych oficerów przybyło do naszego batalionu. Zostałem wysłany z grupą przeważnie podchorążych, pod dowództwem kpt. Władysława Chudego do Libanu na kurs walk wysokogórskich i zmiany transportu kołowego na juczny /muły/. Podróż pociągiem osobowym do Trypolis na północ od Bejrutu zajęła kilka dni. Była to piękna podróż. Po lewej stronie morze Śródziemne, po prawej pagórki i góry pokryte zielenią, drzewami owocowymi. Banany można było prawie ręką zerwać z wagonu. Nowe miejsce postoju było w Bsarma, kilka kilometrów na północ od Trypolisu. Co za piękny teren. Piękne zielone góry, ciepłutko jak w raju. Owoców pełno. Śliwki wielkości pięści, soczyste i słodkie.

Głównym tematem kursu było maskowanie się w terenie górskim i przewóz zaopatrzenia dla oddziałów liniowych mułami.

Zajęcia były według zwyczaju brytyjskiego tylko 5 dni w tygodniu. Soboty i niedziele spędzaliśmy w Trypolisie, które jest miastem chrześcijańskim, obrządku moranickiego. Tu nasze zapasy gotówki poszły bardzo szybko w brytyjskich kasynach i klubach,

do których jako podchorążowie mieliśmy prawo wstępu. Wodzirejem naszej grupy podchorążych był sierż. podch. Henryk Januszkiewicz, przed wojną nauczyciel w Białymstoku. On starszy od nas wiekiem, doświadczony życiowo, bardzo miły człowiek lubił nam głupkom imponować swoją znajomością trunków, potraw, obyczajów towarzyskich. Ale beze mnie nie mógł się obejść, bo mój język francuski był najlepszy w naszej grupie, a tu francuski był powszechnie używany.

Jednego wieczoru wybraliśmy się do klubu oficerskiego w Tripolisie bo tu napoje były o wiele tańsze niż gdzie indziej. Najbardziej smakował mi likier mintowy. Był gęsty, słodki, ciemnozielony, przyjemny w picciu. Gdy wydaliśmy resztę pieniędzy zaczął się kabaret. Po kilku numerach pojawiła się na scenie tancerka brzucha. Była dość wysoka i raczej szczupła. Tańca brzucha poprzednio nie widziałem. Jej kostium, figura, ruchy były dla mnie nowe i podniecające. Prawie żeśmy osłupieli gdy po skończonym tańcu z bębenkiem w ręku chodziła od stolika do stolika i zbierała pieniądze. Nie wiem jakim językiem ona nas klęła, gdy nie dostała od nas ani grosza.

W następną niedzielę byliśmy w miejscowym kościele. Po obiedzie pojechaliśmy na plażę by się ochłodzić, bo było bardzo gorąco. Po upływie pół godziny zaczęła mnie trząść malarria. Lekarz Centrum Wyszkolenia Wysokogórskiego dał mi tabletkę chininy. Tylko kwaśne jabłko zabiło jej gorycz. Sanitarka odwiozła mnie do brytyjskiego szpitala w Trypolisie, w centrum miasta. Trzeciego dnia temperatura obniżyła się do normalnego poziomu i myślałem że wrócę do oddziału. Ale przepisy brytyjskie orzekają, że po malarrii trzeba mieć 2 tygodnie odpoczynku. Zostałem wysłany do obozu wyzdrowieńców. Był to szpital Armii Brytyjskiej. Cały szereg baraków z bieżącą wodą i ubikacjami. Polacy zajmowali 2 baraki. Siostry i pielęgniarki były Brytyjkami.

Siostra na naszej sali była Angielką, szczupłą, małą, w stopniu kapitana. Tłumacza angielskiego nie było, ale siostra знаła trochę francuskiego, więc stałem się tłumaczem. Jednego dnia zapytała mnie, czy mógłbym pójść z receptą do apteki, która była w centrum szpitala i przynieść potrzebne jej lekarstwo. Na drugi dzień wysłała mnie dwa razy, na trzeci dzień trzy razy Dziękowała bardzo pięknie po angielsku za każdym razem dłużej... Po 30-tu latach uświadomiłem sobie, że straciłem wtedy okazję do nauki języka angielskiego

Wracając do Centrum Wyszakolenia, po dwóch tygodniach wspa- niałego odpoczynku, wcale nie miałem pretensji do malarii, że mnie zaatakowała. Liban bardzo mi się podobał, klimat przyjemny, ludzie o wiele przyjemniejsi od Arabów w Iraku, krajobraz prze- piękny. Wszędzie widać ślady kultury francuskiej. Żałuję bardzo, że ludzie Libanu przez ostatnie piętnaście lat tak strasznie cierpią.

Wkrótce, po powrocie do mojej grupy w Centrum, kurs się skoń- czył. Tą samą drogą kolejową, po kilku dniach, wróciliśmy do 16- tego LBS w obozie Mughazi koło Gazy.

Październik w roku 1943 był miesiącem intensywnych ćwiczeń bojowych. Najpierw w rejonie Hebronu na południe od Jerozolimy, potem daleko na północy w rejonie Morza Galilejskiego. W tych ćwiczeniach każdy żołnierz się czegoś nauczył. W armii brytyj- skiej każdy żołnierz liniowy miał wsparcie 7-miu osób w tyle / wszelkiego rodzaju kierowcy, kucharze, lekarze, pielęgniarki, punkty opatrunkowe wysunięte i tylne, artyleria, moździerze, czołgi, artyleria przeciwpancerna, rozpoznanie lądowe i powietrz- ne itd..itd., to wszystko musiało być zgrane, żeby odnieść sukces.

Przy końcu października niespodziewanie zostałem odkomende- rowany na kurs maturalny, by dokończyć moje średnie wykształce- nie, w miejscowości Barbara w Palestynie. Był tu ośrodek szkolny,

junaków. Podobny ośrodek był w m. Jenin. Komendantem ośrodka w Barbarze był mjr Włodzimierz Latawiec, były d-ca 16LBS. Wykłady odbywały się w barakach, ale mieszkaliśmy w namiotach, tak jak na pustyni.

W połowie listopada Naczelny Wódz genbroni Kazimierz Sosnkowski odwiedził II-gi Korpus w Palestynie. Odwiedził również ośrodek w Barbarze.

Mieliśmy wstępny egzamin z łaciny - tłumaczenie, francuski - dyktando, z polskiego i matematyki, by ocenić poziom wiedzy poszczególnych uczniów. Moja matematyka nigdy nie była mocną i dlatego byłem przy tablicy i pytany często. Z francuskiego, przez cały kurs nie byłem pytany ani jednego razu. Ale za to ucierpiałem na egzaminie ustnym. Tematem mego egzaminu ustnego było: "La difference parmi l'ame classique et romantique?". Różnica między duszą klasyczną i romantyczną? Nic o tym nie wiedziałem, ale oczywiście do tego się nie przyznałem i zacząłem krążyć dość biegle o wszystkim z wyjątkiem o duszy klasycznej czy romantycznej. W końcu komisja egzaminacyjna, pan Fatygo i pani Baciarelli, podziękował~~am~~ mi za odpowiedź i wyszedłem. Egzamin pisemny musiał być lepszy, bo francuski zdałem. Nie miałem kłopotu z łaciną. Wykładowcą łaciny była pani Mostowicz, siostra Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, pisarza. Moja znajomość i częste użycie wielu łacińskich przysłów pomogła mi ustabilizować się jako ekspert w łacinie. Pani Mostowicz, średniego wzrostu, miała umysł bystry i ostry, a język cięty i sarkatyczny. Jestem przekonany, że gdybym nie był jej faworytem, to matematyki byłbym nie zdał. Ale w końcu zdałem egzamin ze wszystkich przedmiotów i komisja przyznała mi świadectwo upoważniające do wstąpienia na uniwersytet.

Mam bardzo miłe wspomnienia z Barbary. Koło baraków było pełno drzew pomarańczowych. Pomarańcze "Jaffa" dojrzewają dwa razy w roku, grudzień - styczeń, czerwiec - lipiec. Odrabiając

lekcje pod drzewem, można było mieć pomarańcze, kiedy się chciało.

Tu poznałem dwie panienki, które były na kursie małej matury. Jedną z nich była Irena z Łomży, drugą - Władzia Nowicka z Kresów Wschodnich. Obie po zdaniu egzaminów wyjechały do Wielkiej Brytanii do Polskiego Lotnictwa. Prowadziłem korespondencję z obiema. Krócej z Ireną, bo wyszła za mąż za lotnika brytyjskiego.

Zdaje mi się, że kurs się skończył przy końcu marca 1944. Z Barbary zostaliśmy wysłani do jednostek ewidencyjnych, które były już we Włoszech. Zostaliśmy przewiezieni do obozu przejściowego 7-mej dywizji w Quassasin w Egipcie, który leży między Ismailą i Kairem. Stąd przez Kair do Aleksandrii, gdzie po krótkim czekaniu załadowano nas na okręt i po kilku dniach wylądowaliśmy w porcie Tarento, w południowych Włoszech. Był to koniec kwietnia 1944 r. W bazie batalionu dowiedziałem się, że batalion jest w obronie na Monte Castellone, na północny zachód od Monte Cassino. Późnym popołudniem z przewodnikami mułów przybyłem do słynnego wąwozu Inferno. Wąwóz, bardzo głęboki, miał po obu stronach strome góry porośnięte młodymi drzewami. Tu był wysunięty szpital w dużym namiocie. Płaska część wąwozu, bardzo piaszczysta, miała metalowe siatki rozłożone na piachu, bo samochody zakopywały się w nim. Północna strona wąwozu, bardziej bezpieczna, była załadowana najrozmaitszymi artykułami żywnościowymi i amunicją. Tam gdzie się wąwóz kończył, wysoko między prawym i lewym szczytem rozciągała się olbrzymia siatka maskownicza, która zasłaniała przed obserwacją z wysokiego Monte Cairo organizujące się do odmarszu kolumny zaopatrzenia. Gdy się zupełnie ściemniło, kolumna ruszyła. Szliśmy doliną rzeki Rapido, gęsiego. Ścieżka oznaczona była białą taśmą po obu stronach. Dolinę przeszliśmy spokojnie. Przy końcu był posterunek żandarmerii okopany w ziemi. Żandarm sprawdził przynależność oddziałów i doradził nam śpieszyć się,

bo według jego orientacji, artyleria niemiecka mogła zacząć strzelać w każdej chwili. Przed nami stała wysoka aż do nieba, czarna i tajemnicza góra. Nie pamiętam, ile godzin czasu zajęło nam przybycie do stanowisk batalionu, ale mogę powiedzieć, że była to długa i męcząca wspinaczka. Po zdjęciu z mułów zaopatrzenia, przeznaczonego do 1-szej kompanii, przybyli przewodnicy z 3-ciej i 4-tej kompanii i zabrali resztę zaopatrzenia dla siebie. Po zameldowaniu mego powrotu do kompanii u służbowego zostałem zaprowadzony do schronu, w którym spała dzienna zmiana. Schron znajdował się około 50 m od wierzchołka. Jego ściany, zbudowane z luźnego kamienia były około 2 m długie i 0,5 m wysokie. Przykryty był dużymi gałęziami i kocami. Podłoga nie była płaska.

Wciąż było ciemno, gdy służbowy zaczął budzić śpiących. Oni po zjedzeniu śniadania i zabraniu prowiantu na cały dzień, poszli na stanowiska, które były porozrzucane na wierzchołku góry Monte Castellone, by zmienić nocną zmianę, która musiała wrócić gdy było jeszcze ciemno, zjeść śniadanie i pojsć spać w opróżnionych schronach. Taki to był rozkład dnia i nocy.

W czasie śniadania dowiedziałem się, że mój przyjaciel Jan Mierzejewski, od objęcia frontu, każdej nocy był wysyłany na placówkę. To potwierdzało moją opinię, że podchorążowie byli nadużywani, wykonywując rozkazy i zadania zawsze z entuzjazmem pełni ideałów i patriotyzmu.

Gdy się rozwidniło nie było widać żadnego żołnierza na szczycie góry. Teraz mogłem zobaczyć wierzchołek Monte Castellone i zbocze, na którym były składy żywności i amunicji i schrony "sypialne",

Zameldowałem swój powrót u d-cy 1-go plutonu ppor. Modesta Boguckiego, który poinformował mnie o rozkładzie stanowisk obronnych, obserwacyjnych, o rozkładzie służb dziennych i nocnych,

kiedy i gdzie można się poruszać. Jego schron był dalej w dół od sypialni żołnierskich. D-ca kompani^P kpt Adam Machnica umieścił się jeszcze dalej w dół z 3-cim plutonem, który był w rezerwie. Tu zbocze było pokryte krzewami i można było poruszać się wtedy, kiedy nękająca artyleria niemiecka miała odpoczynek. Nikt nie wiedział, gdzie jest mój drugi łomżyński przyjaciel kpr. podch. Tadeusz Tabędzki z plutonu karijersów.

Z Jankiem Mierzejewskim spotkałem się dopiero po południu 1-go maja 1944 r. Oczywiście mieliśmy dużo do opowiadania, bo nie widzieliśmy się przez kilka miesięcy. Zacząłem go buntować. Dlaczego on musiał być wysyłany na placówkę każdej nocy. Na to wszystko odpowiadał: "Jestem podchorążym". Nawet nie wiem, jak to się stało, że d-ca 4-tej kompani kpt Adam Lempicki /zmarł w Olsztynie w 1991 r./ sprawił, że kpr. Wójcik z 1-szej kompani został wysłany z drużyną na placówkę tej nocy. Janek i ja mieliśmy objąć jego nocne stanowisko. I tak to było. Jak tylko się ściemniło, zabraliśmy dwa koce i suchy prowiant i zaczęliśmy się wspinać pod górę do schronu. Schron był może 1,5 m długi, 0,5 m wysoki i szeroki. Ściany ułożone z różnej wielkości kamieni były trochę wyższe od siedzącej osoby. Na początku Janek opowiadał mi o jego nocnej placówce. Była ona około 150 m w dół od wierzchołka, trochę w lewo od naszego stanowiska. Trasa była oznaczona białą taśmą. Nie wolno było zejść ze ścieżki, bo teren był zaminowany, a oprócz tego ostrzegawcze fugasy, połączone drutami były bardziej niebezpieczne niż miny. W lewo od naszego stanowiska słychać było wspinający się patrol kpr. Wójcika. Od tej chwili Janek komentował o ścieżce w dół do stanowisk placówki. Gdy powiedział, że już kpr. Wójcik powinien być na placówce, fugas błysnął i zaczął się palić, oświetlając miejsce, gdzie była nasza placówka.

Po kilku sekundach artyleria niemiecka zaczęła nawałnicę do

nieopisania. Wybuchały pociski przed nami, za nami, gwizdy pocisków nad nami, spadająca ziemia i kamienie. Było to dla mnie, jak na pierwszy raz na froncie, o wiele za dużo. Schron był za mały, żeby się można było położyć na ziemi. Siedząc schyliliśmy głowy w przeciwnym kierunku, by mieć je jak najniżej. Do dziś nie mogę pojąć, jak to się stało, że żaden pocisk nie uderzył w nasz schron. Gdy nastąpiła przerwa w ogniu artyleryjskim i podnieśliśmy głowy zauważyliśmy, że jedna z naszych sypialni zaczęła się palić /koc/. Nagle duży płomień wspiął się do góry. Okazało się, że kpr. podch. Tadeusz Piotrowski z Białegostoku, chwycił bańkę, żeby zalać ogień, ale to była bańka z naftą... Znowu zaczęła się nawała niemieckiej artylerii. Pociski gwizdały, wydawało się, tylko kilka centymetrów ponad naszymi głowami. Koc szybko się spalił. Niemcy przestali strzelać w nadziei, że wszystkich nas wybili. Trudno uwierzyć, że nikt z naszej kompanii nie został nawet ranny. Nasze stanowisko było akurat w środku prostej linii od niemieckiego fugasa do płonącego schronu-sypialni z drugiej strony góry.

Resztę nocy spędziliśmy na rozmowie. W chwili tak olbrzymiego strachu mentalność człowieka staje się dziwną. Janek dziękował Bogu za ocalenie. Ja wciąż trząsałem się ze strachu, niezdolny nawet do myślenia. Janek był bardziej religijny niż ja. Miał kilkanaście różańców, świętych obrazków, nabytych i błogosławionych w różnych świętych miejscowościach w Palestynie dla całej swojej rodziny i krewnych. W każdej rozmowie, w zależności od pory dnia, czy roku, dociekał co w tej chwili robią jego rodzice, siostra Czesława, czy jego brat, Stefan. Nie przypominam sobie, żeby on kiedykolwiek powiedział: "Jak, albo kiedy wrócimy do Polski to zawsze było: "Jeśli wrócimy". Kościół w Miastkowie był częstym tematem naszych rozmów. Tej nocy, też zaczęliśmy od szkoły powszechnej, kościoła w Miastkowie, Kolegium św. Fidelisa i tak

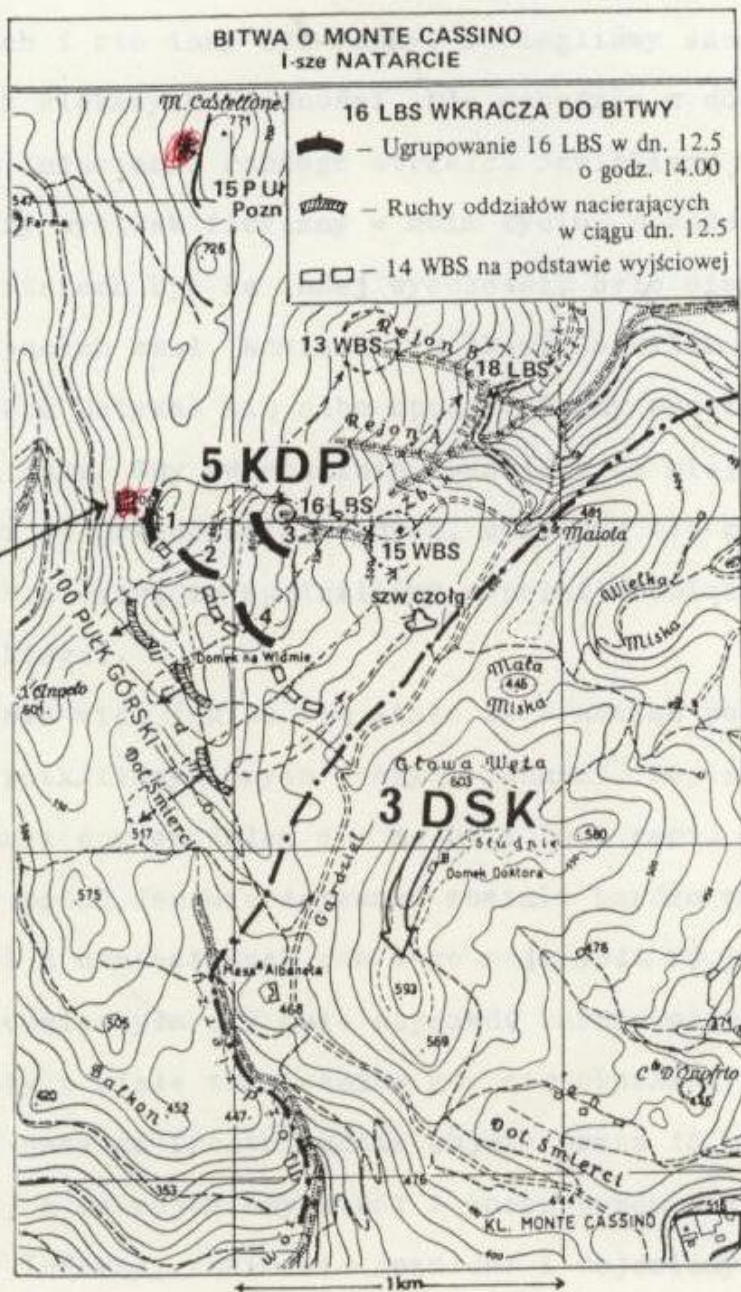
rok po roku doszliśmy do ostatnich miesięcy przed wojną i do Celi Tarnackiej. Cecylia Tarnacka, córka organisty w Miastkowie, uczennica Gimnazjum im. króla Stanisława Leszczyńskiego w Ostrołęce, była panią z długimi włosami noszonymi inaczej każdego tygodnia, uwielbiana przez wszystkich moich kolegów i przeze mnie też. Podziwiałem jego pewność w jej wzajemność i jego plany na przyszłość z nią "jeśli" wróci do Polski. Cela Tarnacka pozostała w naszej rozmowie do rana, a właściwie do zejścia ze stanowisk, gdy dzienna zmiana przybyła, by zająć nasze miejsce. Po zejściu w dół Janek wrócił do swojej kompanii. Ja zjadłem śniadanie i poszedłem spać.

Po południu, gdy nocna zmiana wstała, cała kompania rzuciła się na kpr Wójcika, którego nieostrożność spowodowała wczorajszą nawałę niemieckiej artylerii.

Dowiedziałem się, że pluton rozpoznawczy karjersów, do którego należał Tedeusz Tabędzki, był w ochronie d-ctwa batalionu jeszcze dalej w dół.

Gdy się zaczęło ściemniać, nocna zmiana zaczęła się przygotowywać do objęcia stanowisk. Byłem bardzo zdziwiony gdy zobaczyłem Janka Mierzejewskiego na czele swojej drużyny idącego objąć stanowiska na placówce. Przechodząc koło mnie podał mi lewą rękę, bo w prawej miał Thompsona /krótki karabin maszynowy/, nie mówiąc ani słowa. Na jego twarzy był wyraz oburzenia, złości i smutku.

Już byłem blisko nocnego stanowiska, gdy usłyszałem wybuchy rozrywających się granatów dochodzących z kierunku Janka Mierzejewskiego placówki. W kilka sekund usłyszałem biegnących do góry. Ktoś miał nosze, do których się przyłączyłem. Było ciemno. Nie wiedziałem, czy biegniemy we właściwym kierunku, bo białej taśmy ani ścieżki nie widziałem. Wreszcie usłyszeliśmy jęk. Bez słowa położyliśmy rannego na nosze i szybko zaczęliśmy iść do góry.



- ☠ kpr. pchor. Mierzejewski Jan ciężko ranny w nocy 2/3.5 na Monte Castellone
- ☠ kpr. pchor. Lachowski Stanisław ranny 12.5.1944 o godz 14.30 na wzgórzu 706

Wielu innych żołnierzy biegło, by pomóc. Dwóch z nich przyłączyło się do naszych noszy. Ranny strzelec Sawicki, radiojota, nie odpowiedział na żadne nasze pytanie. Nie wiedzieliśmy, ilu było rannych i kto inny był ranny. Dobiegliśmy szczytu Monte Castellone bez większych trudności, ale schodzić w dół było o wiele trudniej. Zniesienie rannego strzelca Sawickiego uważałbym za największy wysiłek fizyczny w moim życiu. W każdej chwili każdy z nas czterech był na innej wysokości. Było ciemno, dużo krzewów, wystających skał, kamieni i dołków. Co kilka metrów jeden z nas czterech potykał się albo upadał. Ranny prawie że spadł z noszy kilka razy. Gdy ewentualnie doszliśmy do miejsca, gdzie czekały łąziki do przewożenia rannych, czuliśmy się zmęczeni, ale zwycięsko z wiarą, że spełniliśmy w pełni obowiązek wobec strzelca Sawickiego.

Nie wiem, jak to się stało, że wracając pod górę do kompanii nie spotkaliśmy innych noszy z rannymi. Dopiero po przybyciu do kompanii dowiedziałem się że byli inni rani. Strzelec Nasarzewski i kpr podch. Jan Mierzejewski zostali bardzo ciężko ranni. Obaj zmarli z odniesionych ran 4-go maja 1944 r. Ta moja druga noc na froncie była dla mnie naprawdę bardzo ciężka. Wypadek ten był odczuty o wiele tragiczniej, gdy się okazało, że przed świtem odcinek naszego frontu będzie objęty przez 15 pułk ułanów poznańskich, a my zejdziemy w dół i znowu przez dolinę rzeki Rapido, wąwóz Inferno, zanim się rozwidni i dojdziemy do miejscowości Viticuso na odpoczynek.

Okazało się, że Niemcy dowiedzieli się z wczorajszych wypadków, gdzie jest polska placówka, uchytrzyli się, przybyli tam wcześniej i urządzili zasadzkę, obrzucając drużynę Mierzejewskiego granatami.

Żałuję bardzo, że przechodząc w wąwozie Inferno koło namiotu szpitalnego nie przyszło mi do głowy, żeby tam wstąpić i

zapytać o podch. Mierzejewskiego. Byłem pewny, że został odwiedziony do jednego z większych szpitali. Ale czasami wolę pamiętać go takim jakim widziałem ostatni raz.

Rozmawiałem z kapelanem szpitalnym, który mu udzielił ostatnich sakramentów. Powiedział, że nie było możliwości, aby się Janek wyleczył. Z lewego uda pozostała tylko kość. To samo było z jego lewą pierśią.

Straciłem drogiego przyjaciela. Rodzina straciła syna i brata. Polska straciła zdolnego, utalentowanego obrońcę, który oddał Bogu ducha, swoje ciało ziemi włoskiej, a serce Polsce.

Pochowany najpierw w Aqua Fondata, potem na Polskim Cmentarzu na Monte Cassino, zaraz przy wejściu po prawej stronie niedaleko od grobu gen. Andersa i biskupa Gawliny. Cześć Jego Pamięci.

Nasz odpoczynek w Viticuso trwał do 10 maja. Wiele różnych wieści chodziło po batalionie. Między innymi była wiadomość, według d-cy bat., bardzo smutna dla batalionu, bo 16LBS wyciągnął los bycia w rezerwie d-cy korpusu, a nie w ataku na Monte Cassino w czasie ofensywy. Może dojść do tego, że batalion w ogóle nie będzie użyty... jaka okropna strata zaszczytu i honoru.. Ale mimo to 10 maja wczesnym wieczorem batalion ruszył z miejsca postoju do wąwozu Inferno. Stąd gęsiego, żołnierz za żołnierzem z dużymi odstępami, kompania za kompanią weszliśmy w dolinę rzeki Rapido.

O godzinie 23.00 1200 dział artyleryjskich otworzyło ogień na Monte Cassino i sąsiednie wzgórza. Monte Cassino, daleko przed nami, było widoczne jak w dzień. Ponad nami gwizdały pociski naszej artylerii. Patrząc w tył, tysiące błysków odpalających dział rozmieszczonych daleko po obu stronach wąwozu, przedstawiało niebo ozdobione tysiącami błyszczących gwiazd.

To trwało aż do naszego dojścia do końca doliny. Zaczęła

się wspinaczka. Bardzo strome zbocze góry, do której nasza kompania była doprowadzona przez przewodnika, wydawało się być bezpieczne. Tu spędziliśmy resztę nocy śpiąc, jak kto mógł i gdzie mógł. Rano zabłąkany pocisk moździerza wybuchł^{na} w środku kompanii, raniąc ppor. Boguckiego, d-cę 1-go plutonu.

Po śniadaniu zaczęły krążyć wieści, donoszące, że 1-sze natarcie się nie udało. 3-cia Dywizja Strzelców Karpackich po zdobyciu wzgórza 293 i 569 musiała opuścić 593 na skutek przeciuderzeń niemieckich. Natarcie naszej dywizji - 13, 15 i 18 bat. zostało zatrzymane.

O godzinie 14.00 nasz batalion, który miał być w rezerwie do dyspozycji d-cy korpusu, z możliwością w ogóle nie wzięcia udziału bojowego, otrzymał rozkaz wymarszu i do ataku na wzgórze 706. Góra ta nie różniła się niczym od innych gór. Krzewy, gołe skały, doły i znowu krzewy pokrywały nasze przedpole. Przewodnik doprowadził naszą kompanię do podstawy wyjściowej. Tu stał nasz d-ca bat. mjr Andrzej Stańczyk /góral - nazywany Baci/, który krzyknął: "Chłopcy !!! Bagnet na broń. Możecie się spotkać z Niemcami w każdej chwili".

D-ca kpm. kpt. Machnica wysłał 1-szy pluton 50 m do przodu w lewo, 3-ci to samo w prawo, 2-gi pozostał na miejscu, mniej więcej w środku między 1-szym a 3-cim i polecił czekać na rozkaz natarcia.

D-ca 1-szego plutonu ułożył swój pluton w ten sam sposób, dwie drużyny do przodu i jedna w tyle. Ja, pełniąc obowiązki zastępcy d-cy plutonu, zostałem przy 3-ciej drużynie razem z sanitariuszem i obsługą dwucalowego moździerza.

Na wszystkich wykładach i ćwiczeniach w Szkole Podchorążych zawsze wiedziało się gdzie jest nieprzyjaciel, gdzie są jego stanowiska. A tu nikt nic nie wiedział, i nic nie było widać.

Widocznie Niemcy nas spostrzegli, bo zaczęła się nawała

artyleryjska. Wydawało się, że pociski leciały z tyłu, tak jakby to była nasza artyleria. D-ca kompanii wydał rozkaz do ataku. Po 50 m nasz pluton zziębnięty zatrzymał się. Pociski artylerii wciąż wybuchaly tam, gdzie myśmy byli przed chwilą. Ktoś inny też myślał, że to nasza artyleria strzela na nasze stanowiska i wystrzelił rakiety, żeby nasza artyleria wydłużyła ogień. To dało Niemcom znać, gdzie my jesteśmy, tak jak kilka dni temu na Monte Castellone, z palącym się schronem.

Nowa nawała artylerii niemieckiej pokryła całą górę. Spadająca ziemia z kamieniami była zastraszająca. W czasie przerwy nawały artyleryjskiej zobaczyłem żołnierza biegnącego w dół. Gdy się zbliżył poznałem go. Był to Edek Modzelewski z 1SLES. Gdy zapytałem, co się dzieje u góry, to powiedział, że z całej załogi baterii móździerzy on jeden został żywy.

Było bardzo gorąco i męcząco idąc półbiegiem do góry w nieznaną. Po kilkunastu metrach pluton znowu zatrzymał się, by złapać powietrze. Podczas nowej nawały niemieckiej artylerii, wybuchy były wokoło plutonu i w środku plutonu z gwizdzącymi odłamkami i kamieniami.

Po nawałce artyleryjskiej poczułem się spocony ze strachu albo od słońca. Mój lewy bok, od pachy w dół był zupełnie mokry. Coś mi szeptało do ucha, że to nie jest pot. Gdy włożyłem rękę pod koszulę by się wytrzeć, poczułem ból. Moja dłoń była czerwona od krwi.

Amunicyjny móździerza krzyknął: "Podchorąży ranny". Ta wiadomość poszła po linii i przyszła odpowiedź, żebym się wycofał do punktu opatrunkowego. Zdjąłem mój battledress i koszulę, a móździerzowy z amunicyjnym owinęli mnie moim bandażem. Nie odczuwałem żadnego bólu, gdy siedziałem na ziemi. Dopiero gdy wstałem poczułem się jakoś dziwnie.

Idąc w dół zameldowałem kpt. Machnicy, że jestem ranny.

Zapytał, czy dam radę sam zejść do wysuniętego punktu opatrunkowego. Odpowiedziałem, że tak, pamiętając znoszenie Sawickiego 2-go maja. Jest wielka różnica schodząc w dół w dzień po ścieżce oznaczonej białą taśmą. Ciężka artyleria niemiecka wciąż strzelała. Słyszając wybuchy, obejrzałem się do tyłu. Co to był za widok. Za każdym wybuchem słup ziemi z kamieniami szedł do góry. Olbrzymie uczucie ulgi ogarniało mnie, że już tam nie jestem, że nie muszę się bać.

Na wysuniętym punkcie opatrunkowym dostałem zastrzyk. Mój bandaż został sprawdzony. Zostałem położony na nosze i z noszami na sanitarny łazik. Kazano mi leżeć i nie ruszać się, bo szrapnel albo kamień być może utkwiał w moich płucach.

Po przybyciu do wysuniętego szpitala polowego zdjęto mnie z noszami z łazika i położono na ziemi przy namiocie. Po chwili sanitariusz podszedł do mnie z formularzami do wypełnienia. Potem przyszło dwóch sanitariuszy i jeden z nich zapytał o Lachowskiego. Klękając koło moich noszy powiedział: "O to ty Stasiu, pamiętasz Szachryziabz"... i zaczął mnie całować. "Jak się czujesz, że żyjesz". Mimo że byłem śpiący po zastrzyku, to mnie podniosło na duchu, naprawdę, bardzo mocno. Zostałem wniesiony do dużego namiotu i położony na stół. Zauważyłem, że namiot był pełen rannych, leżących na ziemi, na stołach, pełen pielęgniarek, lekarzy i sanitariuszy. Tu segregowali rannych. Albo na operacje na miejscu, albo skierowanie do właściwego szpitala w zależności od ran, albo na omentarz...

Lekarz zbadał mój puls, zaświecił mi w oczy, popatrzył pod opatrunek, napisał coś na moim formularzu i już mnie sanitariusze nieśli do dużej sanitarki, którą dowieziono nas / 4 / przed duży kilkunapiętrowy budynek w jakimś mieście, nie wiem gdzie. Przed budynkiem był duży klomb, wokół którego leżeli ranni na noszach, bo w środku nie było miejsca.

Młoda, piękna siostra szpitalna, po odebraniu naszych kart od kierowcy sanitarki podeszła do mnie, popatrzyła na moją kartę i zapytała kiedy miałem zastrzyk. Powiedziałem, że było to około 3-ciej po południu. Zrobiła mi drugi zastrzyk i odeszła. Zauważyłem dużo kobiet i mężczyzn w mundurach, nie ze szpitalnej obsługi, chodzących od noszy do noszy. Po chwili mała ciężarówka, 30cwt, wjechała w bramę i zatrzymała się koło muru. Dwie ochotniczki wysiadły i szły w kierunku wejścia do szpitala. Nie mogłem uwierzyć. Jedną z nich była moja nauczycielka z Miastkowa pani Helena Kontrymowa. One też zatrzymywały się koło rannych. Gdy doszły do mnie, pani Kontrymowa stanęła z miną na twarzy jakby zobaczyła ducha. Od razu upadła na kolana i zaczęła mnie całować i wywodzić: "O Stasiu drogi ... co ci zrobili ci Niemcy.. gdzie jesteś ranny...proszę cię nie umieraj...Popatrz Krysiu... mój uczeń... bohater z pod Monte Cassino... leży tutaj ranny... czy już Monte Cassino zajęte..?" Zdążyłem powiedzieć jej, że jej inny uczeń Janek Mierzejewski też został ranny ... gdy sanitariusze podnieśli mnie z noszami i zanieśli prosto na stół operacyjny. Tu rozebrano mnie do pasa, położono na bok. Dali jeszcze jeden zastrzyk i zdjęli opatrunek. Gdy przyszedł lekarz, też nie powiedział ani słowa. Stanął z tyłu za moimi plecami i niestety nie widziałem co robił. Żadnego bólu nie czułem, ale słyszałem lekki brzęk metalu rzuconego na metalowy talerzyk. Potem czułem jak zszywał ranę, ale też nie bolało. Nowy opatrunek, ubrany, znowu na nosze i dalej w drogę sanitarką, która dowiozła mnie do dużego szpitala w Campobasso, gdzie spędziłem kilka dni. Potem dalej na południe Włoch, do innego szpitala koło Bari. Tu spotkałem komendanta naszego Hufca Łomżyńskiego Czesława Zielińskiego. Potem na dwa tygodnie do obozu wyzdrowieńców, gdzieś nad Adriatykiem. Potem do Ośrodka Zapasowego Korpusu w San Basilio. Następnie z powrotem do 16LBS, akurat na czas, by wziąć udział

w ataku na miasto Pescara nad Adriatykiem pełen świadomości, że jeśli będę ranny, to otrzymam bardzo dobrą opiekę lekarską.

Nie będę opisywał wszystkich walk, w których wziął udział 16LBS, bo o tym pisali historycy i pisarze łącznie z Wańkiewiczem. Podam szczegóły, których nie ma w książkach, a które dotyczą mnie lub moich kolegów.

Od miasta Pescara front posuwał się na północ bardzo szybko aż do Filottrano i Osimo na zachód od Anконы, gdzie Niemcy zatrzymali nasze natarcie 1-szego lipca. Nasz batalion znalazł się między Filottrano i Osimo, bliżej raczej Filottrano. Moja drużyna otrzymała zadanie okopania się koło małej farmy i bycia gotowym do niemieckiego natarcia w każdej chwili. Farma ta miała tylko jednopiętrowy budynek. Na dole były chlewy i obory, a na piętrze mieszkała rodzina. To była typowa małorolna farma włoska. Dojazd do niej był wąską ścieżką od wierzchołka w dół dalej w lewo w kierunku na Filottrano. Z południowej strony, między budynkiem a drogą były dwa stogi. Pod tymi stogami wykopaliśmy schrony, w których żołnierze będą mogli bezpiecznie odpoczywać po służbie obserwacyjnej. Stanowisko karabinu maszynowego "Bren" wyznaczyłem pod drzewem w cieniu w lewo od budynku z dobrym polem widzenia. Przy wejściu do chlewa leżała zabita, wzdęta, śmierdząca krowa. Z drugiej strony budynku rozciągało się, lekko spadające w dół, duże pole kukurydzy, już prawie dojrzałej.

Nikt nam nie powiedział, gdzie są Niemcy. W lewo od nas, Filottrano było bombardowane przez artylerię bez przerwy. Nasz odcinek też cierpiał od niej, ale cała drużyna mogła schować się pod stogi i była bezpieczna. Przez całą noc byliśmy okopani na stanowiskach, przygotowani na niemieckie natarcie.

Jak się zaczęło ściemniać dostaliśmy wieczorowy, gorący posiłek. Tu chciałbym ogłosić bardzo głośno wszystkim, że 1-sza kompania 16-tego LBS, bez względu jak szło natarcie, zawsze

dostawała przynajmniej jedną gorącą potrawę dziennie. Widziałem szefa naszej kompanii, sierż. Truskowskiego, w nocy

szukającego nocnych obserwatorów, by im dostarczył gorący posiłek. Został awansowany do stopnia chorążego, otrzymał Krzyż Zasługi i Krzyż Walecznych, bo na to wszystko zasłużył. Dobrze zasłużył się Polsce !!

Po kolacji drużyna poszła na stanowiska, rozmieszczone w lewo od budynku przy ścieżce. Artyleria niemiecka ostrzeliwała bez przerwy Pilottrano, Osimo i nas. Nie było mowy o spaniu. Radijota i telefonista plutonu usadowił się pod naszym stogiem w nadziei, że dobrze wypocznie.

Do moich uszu doszedł szelest kukurydzy na naszym przedpolu. Od razu przyczołgałem się do telefonisty i zameldowałem d-icy kompanii o tym szeleście. Powiedział, żeby poczekać aż Niemcy podejną bliżej i wtedy uderzy cała kompania.

Szelest kukurydzy był coraz głośniejszy. Ktoś, od nas w lewo, nie wytrzymał nerwowo i otworzył ogień z karabinu maszynowego "Bren". Za chwilę zaczął strzelać "Bren" położony w prawo od nas. Nagle strzelanina zaczęła się ze wszystkich stron. Potem stopniowo ogień ucichł i szelest kukurydzy też, ale do rana nikt nie spał. Rano tylko celowniczy "Bren'a" i ja zostaliśmy na stanowisku. Reszta drużyny poszła pod stóg na śniadanie. Był piękny, słoneczny, ciepły dzień. I znowu słyszę szelest kukurydzy. Już miałem wołać drużynę na stanowiska, gdy celowniczy zaczął się śmiać. Początkowo po cichu, potem głośniej, potem zaczął pękać ze śmiechu. Wreszcie powiedział: "Panie podchorąży ... to nie Niemcy na przedpolu... tam jest krowa...". Chodziła ona między kukurydzą, a myśmy myśleli, że Niemcy zaczynają drugie natarcie. Celowniczy i ja nikomu nie powiedzieliśmy, bo jaki to byłby wstyd... W komunikacie było podane, że niemiecki atak na 1-szą kompanię został zatrzymany i odparty... Zgodzę się ze słowami piosenki: "Żołnierze strzelają ... Pan Bóg kule nosi".

Na tyle strzelaniny krowie nic się nie stało. Wyszedłem ze stanowiska, obszedłem pole kukurydzy i nie widziałem zabitej krowy!!

Po południu lewe skrzydło kompanii ostrzeliwało wolnych Włochów, którzy przygotowywali się do ataku na Filottrano. Pół godziny później przyszedł telefon informujący nas o włoskim ataku

Te kilka dni koło Filottrano było dla mnie o wiele cięższe od dni na Monte Cassino. Wieczorem tego dnia zabrano nas z tej linii i przewieziono na podstawę wyjściową do natarcia na Villanova.

Natarcie rozpoczęło się zaraz po południu. Przed nami było lekkie wzgórze, a na nim pola podzielone rzędami winnej latorośli. Na wzgórzach widoczne były budynki. Natarcie było wsparte czołgami / 7 brytyjski pułk huzarów, dał nam wspaniałe wsparcie/ carriersami i ciężką artylerią. Piszę o tym ataku dlatego, że był inny od poprzednich. Piechota i czołgi ruszyły razem do przodu. Od razu niemiecka artyleria rozpoczęła nawałę, ale pociski wybuchwały 50 m za nami. Parliśmy do przodu jak najszybciej. Artyleria wroga skróciła celowniki znowu o 50 m. I tak pędziła nas do przodu. Czasami mieliśmy trochę czasu, by zjeść kilka winogron bo było gorąco, a byliśmy spragnieni. Gdy dopadliśmy do niemieckich stanowisk, już tam nie było nikogo. Zostawili swoje magazyny, papierosy, cygara i gorącą herbatę w kubkach na stole za jednym z domów.

I tak to było aż do 21-szego lipca, natarcie za natarciem w dzień i w nocy. Gdziekolwiek byliśmy na noc, tam był nasz szef Truskowski z gorącą potrawą.

Ankona została odcięta. 19-tego lipca doszliśmy do małej rzeki i mostu na drodze nr 16 Via Adriatica. Stąd d-ca kompanii por. Waldemar Ley wysłał mnie i czterech żołnierzy na patrol wzdłuż drogi nr 16 tak daleko jak się da, ale nie angażować się w walce z Niemcami. Bez żadnego oporu doszliśmy do następnej

miejsowości. Nie było tu ani żywej duszy. Ale z drugiej strony miasta Niemcy okopali się przy drodze i zaczęli do nas strzelać. Zgodnie z instrukcją wróciłem do kompanii bez wiązania się w walkę

Prawdopodobnie nigdy nie zdarzyło się w historii, by podchorąży dowodził brygadą. Zdarzyło się to 15 sierpnia 1944 r., gdy 6-ta Lwowska Brygada Piechoty zebrała się na uroczystość Święta Żołnierza. Ołtarz został przygotowany na dużym, pustym polu. Bataliony 16, 17 i 18 przybyły w całości dowodzone przez oficerów służbowych a nie dowódców. Byłem oficerem służbowym 16LBS i według starszeństwa objąłem komendę nad całością.

Gdy d-ca brygady płk. Klemens Rudnicki przybył ze swoją świtą i gronem korespondentów prasy polskiej i zagranicznej, czułem się co najmniej 2 m wysoki. Czystym, pełnym głosem wydałem komendę: "Brygada na moją komendę ... Brygada baczność... Brygada na prawo patrz... Panie pułkowniku podchorąży Lachowski melduje 6-tą Lwowską Brygadę Piechoty zebraną na uroczystości Święta Żołnierza..". Po tradycyjnym "Czołem Brygado" i "Czołem Panie Pułkowniku", płk. Rudnicki przemówił, nawiązując do ostatnich walk brygady i do walk Armii Krajowej w Warszawie, która krwawiła się bez żadnej zewnętrznej pomocy.

19-tego sierpnia 1944 r. 16LBS poniósł największe straty w czasie ataku na II Vicinato i sąsiednie wzgórza. Tego dnia 3-ech oficerów i 15-tu szeregowych zostało zabitych i 3-ech oficerów i 27-miu szeregowych rannych.

D-ca 1-szej kmp. por. Waldemar Ley / z ojca Niemca i matki Włoszki/, bardzo przyjemny, przystojny, rozsądny człowiek, nie wiem dlaczego był z kompanią nacierającą na wzgórze 171, gdy 1-sza kompania była w drugiej linii natarcia. Był adiutantem Szkoły Podchorążych w Szachryziabz i Quizil - Ribat. Grał na akordeonie, cieszył się wielkim powodzeniem u pań. Krążyła pogłoska, że kiedy był adiutantem w Szkole Podchorążych, teczka

przeznaczona na "tajne" dokumenty, była pełna od tajnych listów od pań. Cześć Jego Pamięci.

Podch. Henryk Januszkiewicz z Białegostoku, nauczyciel z zawodu, był również człowiekiem, którego podziwiałem i respektowałem. Siedział w więzieniu na Łubiance razem z gen. Rudnickim w tej samej celi. Wiem, że miał żonę i córkę. Gdyby było możliwe, to chciałbym im powiedzieć, że one obie były dla niego wszystkim. Nie kupował i nie zbierał upominków lub prezentów, bo twierdził, że jak wróci, to jego żona i córka otrzymają największy prezent w jego osobie. Niestety nie wrócił. Jestem dumny, że go znałem. Cześć Jego Pamięci.

W naszej kompanii było dużo ludzi dobrego serca i charakteru. Weźmy np kpr. Ptaszyńskiego, który był starszy ode mnie. Miał zawsze zapasy czekolady i cukierków. Rozdawał je tylko dzieciom z biednych rodzin. Zawsze znalazł dzieci brudne, obdarte, zasmarkane i im rozdawał czekolady, bo wiedział, że nikt inny im nie da.

Smutny wypadek zdarzył się, gdy byliśmy na odpoczynku nad rzeką Metauro. Czterech nas: ja, podch. Andrzej Montwiłł, podch. Antoni Jankowski i plut. Jan Jarosiewicz, graliśmy w bridge'a przed namiotem. Był piękny, ciepły dzień. Zaraz na początku Jarosiewicz zaczął narzekać, że w taką pogodę granie w bridge'a jest grzechem. Cały czas powtarzał, że dobrze byłoby pójść do wody. W końcu poprosił kogoś, żeby poszukał podch. Aleksandra Milanowskiego i żeby on zajął jego miejsce. Przez cały czas Jarosiewiczowi karta szła naprawdę bardzo dobrze. Akurat skończył 5 trefli, gdy Milanowski przyszedł i zajął jego miejsce. Nie zdążyliśmy skończyć następnej gry gdy ktoś przybiegł i powiedział, że plut. Jarosiewicz utonął. Pobiegliśmy szybko do rzeki i znaleźliśmy Jarosiewicza leżącego 'twarzą w wodzie. Woda sięgała tylko do jego uszów. Rzeka była kamienista, wody w niej

mało. Jak on mógł utonąć nie mogliśmy zrozumieć ... Musiał mieć atak serca... Do dziś trudno zrozumieć dlaczego i co go tak knusiło, żeby pójść do wody... naprawdę trudno zrozumieć...

Na początku października 2-gi Korpus został przeniesiony z nad Adriatyku w Apeniny w okolice Santa Sofia - Galeata - Faenza. D-ca bat. ppłk. Andrzej Stańczyk został przeniesiony na stanowisko zastępcy d-cy 4-tej Wołyńskiej Brygady Piechoty, która niedawno zaczęła się formować.

Dowództwo naszego batalionu objął mjr dypl. Piotr Woźniak gruntownie wykształcony, z dużym talentem malarskim.

15-tego października po południu, gdy batalion był na odpoczynku w Civitella di Romagna, kpt. Wacław Kubiak zaczął alarmować batalion krzyżąc: "Niemcy uciekają".

Było ciemno, gdy zostaliśmy podwiezieni do podnóża góry. Gęsiego, w odstępach plutonami zaczęliśmy się wspinać. Przed szczytem plutony zostały rozrzucone w terenie z rozkazem przygotowania się do snu. Rano po śniadaniu plutony zostały doprowadzone prawie do szczytu i rozmieszczone wzdłuż góry.

Według kpt. Kubiaka miało to być najłżejsze natarcie, bo Niemcy już uciekali. Mieliśmy mieć wsparcie artylerii i karabinów maszynowych. Ale nikt z nas nie wiedział, co jest z drugiej strony góry. Na całej linii była cisza, prawie każdy żołnierz palił papierosa za papierosem. Jako zastępca d-cy 1-szego plutonu ppor. Leona Nadera, umieściłem się w środku plutonu przy 2-giej drużynie. Natarcie rozpoczęło się o godz. 9-tej. Cały pluton poderwał się do biegu przez szczyt wzgórza. Zaraz otrzymaliśmy ogień karabinów maszynowych. Kulki gwizdały, zdawało się między naszymi nogami, jak osy. Padłem na ziemię i popatrzyłem co jest przed nami. Zobaczyłem szerokie pole koniczyzny, równe jak stół, tylko lekko spadające w dół. Około 300 m w dół, trochę w lewo, były zabudowania i stogi. Od razu wiedziałem, że karabiny

maszynowe są tam pod stogami i będzie bardzo trudno je zlikwidować. Po chwili poderwałem się do biegu i krzyknąłem: "Pluton do przodu". Znowu kule zaczęły padać wokoło mnie i zmusiły do padnięcia na ziemię. Popatrzyłem w lewo i zobaczyłem kpr. Skibińskiego leżącego, może 3 m ode mnie. Po mojej prawej stronie nie było nikogo. W tyle za nami też nie było nikogo. Pytam Skibińskiego, co będziemy robić. On powiada, że nas dwóch nie zrobi w tej sytuacji. Niemcy nas widzą i jak tylko się poruszymy, to będą strzelać. Będziemy musieli poczekać aż się ściemni.... Koniczyna była tylko kilka cm wysoka i nie wiem, czy nas zasłaniała czy nie.

Po kilku minutach pociski moździerzy zaczęły wybuchać przed nami. Zasugerowałem żebyśmy się wycofali, czołgając się tyłem do szczytu góry. Jeśli by Niemcy nas zauważyli i zaczęli strzelać, to nasze ~~helmy~~ zabezpieczyłyby nam głowy.

Nagle moja głowa poleciała do przodu. Przez sekundę miałem uczucie i wydawało mi się, że głowa toczy się w dół po koniczynie. Był to mój ~~helm~~. W moich uszach zaczęło dzwonić tysiące dzwonów o najrozmaitszych oktawach... Dochodzi głos z tyłu: "Podchorąży i Skibiński zabici" i dalej po linii... "Lachowski i Skibiński nie żyją"... Pomyślałem, że jeżeli słyszę, to muszę być żywym. Pamiętam moje pierwsze uczucie. Porównałbym je do uczucia, gdy się jest w wannie z gorącą wodą, kiedy ciało traci na wadze. Tak leżąc na ziemi nie czułem ani nóg ani rąk.... wydawało mi się, że moje ciało było bez żadnego kleju, bez jakiegokolwiek połączenia... jak żelatyna na talerzu. Dzwony powoli ucichły. Poruszyłem głową i zobaczyłem Skibińskiego... potem ruszyłem prawą ręką, prawą nogą, lewą ręką i nogą. Doszedłem do przekonania, że żyję.

Gdy zapytałem Skibińskiego czy żyje, to odpowiedział że żyje. Patrząc do tyłu nie widzieliśmy nikogo za nami. Skibiński

podniósł rękę do góry w nadziei, że ktoś na górze zobaczy znak że żyjemy. I tak się stało. Sanitariusz z flagą Czerwonego Krzyża zaczął schodzić w dół w naszym kierunku. Niemcy nie strzelali ani z karabinów maszynowych ani z moździerzy. Respektowali Układ Genewski, że do rannego żołnierza się nie strzela!

Gdy się trochę podniosłem, zobaczyłem otwór w ziemi po pocisku moździerza akurat w połowie przestrzeni między mną a Skibińskim. Zostałem ranny w głowę powyżej lewego ucha w kierunku czoła, a Skibiński prawie tak samo tylko po prawej stronie głowy. Sanitariusz podniósł flagę do góry i pomógł nam wstać. Po mału doszliśmy do szczytu /około 30 m / i zeszliśmy w dół do punktu opatrunkowego kompanii. Niemcy nie strzelali.

Sanitariusz kompanijny dał nam zastrzyk i obandażował głowy. Chwiejąc się na nogach zaczęliśmy schodzić w dół do łazika sanitarnego, który przewiózł nas do wysuniętego szpitala. Tu po znieczulającym zastrzyku, lewa połowa mojej głowy została ostrzyżona i ogolona. Młody chirurg zszył ranę, wypełnił moją kartę szpitalną i powiedział, że bym leżał na noszach bez ruchu. W następnym szpitalu byłem kilka dni. Stąd odwieziono mnie, leżącego na noszach, do portu w Ankonie, gdzie stał duży okręt ze znakami Czerwonego Krzyża. Zanim zostałem zabrany z sanitarki, przywiązano mnie do noszy dwoma pasami. Dowiedziałem^{się} dlaczego, to zrobili dopiero, gdy zostałem przyniesiony na molo i postawiony w kolejce przy innych noszach. Nigdy się tego nie spodziewałem, ale tak się stało. Gdy przyszła moja kolejka zostałem przyczepiony do uchwytów dużego dźwiga i podniesiony wysoko do góry. Potem zacząłem się lekko huśtać i powoli zostałem spuszczonej na pokład okrętu. To była obsługa..., żadne ryzyko nie było dopuszczalne... każdy się o mnie troszczył. Gdy przyплыliśmy do portu w Bari, znowu to samo. Dźwigiem do góry, i na molo, gdzie czekały wojskowe sanitarki, które zawiozły nas do szpitala leżącego

między Bari a Tarento. Po wyjściu ze szpitala znowu do obozu
wyzdrowieńców na dwa tygodnie, potem do San Basilio do bazy
2-go Korpusu. Tu spotkałem przyjaciela Tadeusza Tabedzkiego, który
też był po szpitalu. Było wolne miejsce w jego namiocie, więc
z przyjemnością zająłem.



Ppor. Stanisław Lachowski
Peterhead, Szkocja 1946 r.

Woj powrót do batalionu zaczął się od urlopu. Czterech nas,
nowo mianowanych podporuczników, Marian Dziadkiewicz, nauczyciel
z zawodu, najstarszy wiekiem w naszej grupie, Tadeusz Jarecki,
tego samego wieku co ja, miał dwie siostry w 316 Kompanii Trans-
portowej, Czesław Matyszczak, najmłodszy w grupie i ja, zostaliśmy
my przydzieleni do oddziału /300ci/ z kierowną i rezerwową w
hotelu w Rzymie. Hotel był zarezerwowany przez 2-gi Polski Korpus.
Nigdy na froncie nie widziałem tylko wysokiej rangi polskich

między Bari a Tarento. Po wyjściu ze szpitala znowu do obozu wyzdrowieńców na dwa tygodnie, potem do San Basilio do bazy 2-go Korpusu. Tu spotkałem przyjaciela Tacka Tabędzkiego, który też był po szpitalu. Było wolne miejsce w jego namiocie, które z przyjemnością zająłem.

Na początku listopada moja nominacja na podporucznika ukazała się w rozkazie Korpusu. Przy końcu listopada otrzymałem gażę za trzy miesiące /listopad, grudzień i z góry za styczeń/. Byłem bogaty!!!. Jak mnie wszyscy w namiocie lubili!! Tackowi Tabędzkiemu dokuczał ból zębów ... tylko wino pomagało... Tu, w San Basilio, spotkałem również Stefana Sienkiewicza z Miastkowa. Dawniej był on uczniem gimnazjum w Łomży. Jego ojciec pracował w urzędzie gminnym w Miastkowie.

To było życie... Żadnych zajęć...Wyjazdy do Bari do brytyjskiego kasyna oficerskiego...Do "Pestek" 316-tej Kompanii Transportowej... Do pielęgniarek w szpitalu... Kazia, po drugim spotkaniu zapytała, czy widzę pierścionek na horyzoncie. Niestety nie widziałem.

Powrót do batalionu trwał długo. Wróciłem po nowym roku. Gdy zostałem przedstawiony nowemu d-cy batalionu jako nowomianowany podporucznik po powrocie ze szpitala to mjr dypl.P.Woźniak zapytał: "Czy to ten, który sam pobiegł do natarcia na Monte Grosso?".

Mój powrót do batalionu zaczął się od urlopu. Czterech nas, nowomianowanych podporuczników, Marian Dziadkiewicz, nauczyciel z zawodu, najstarszy wiekiem w naszej grupie, Tadeusz Jarecki, tego samego wieku co ja, miał dwie siostry w 316 Kompanii Transportowej, Czesław Matyszczuk, najmłodszy w grupie i ja, dostaliśmy przydział małej ciężarówki /30cwt/ z kierowcą i rezerwacje w hotelu w Rzymie. Hotel był zarekwirowany przez 2-gi Polski Korpus. Nigdy na froncie nie widziałem tylu wysokiej rangi polskich

oficerów, ilu tutaj było !

Kapelan naszego batalionu, przez długi czas, ks. Bonifacy Sławik został awansowany na "adjutanta" Biskupa Polowego Józefa Gawliny, z siedzibą w Rzymie. Nie wiem, jak i skąd się dowiedział o naszym przyjeździe, gdyż zaraz na drugi dzień zebrał nas wszystkich czterech i powiedział, że przedstawi nas Biskupowi, tu w hotelu, o godz. 11-tej. Nasze plany na przedpołudnie zostały zmienione. Siedząc przy stole w barze hotelu Dziadkiewicz powiedział, że nie powinniśmy, jako oficerowie, całować Biskupa w rękę. Wszyscy się zgodzili i zapadła decyzja.

Tak się złożyło, że gdy ks. Sławik i Biskup podeszli do naszego stołu i ks. Sławik przedstawił nas jako nowomianowanych oficerów 16LBS, Biskup zbliżył się do Dziadkiewicza i podniósł swoją rękę prosto do ust Dziadkiewicza!! To samo było z pozostałymi. Dziadkiewicz był pochmurny przez cały dzień. Znajomość z ks. Sławikiem była dla nas korzystna. Oprowadził nas po całym Rzymie. Zwiedziliśmy bazylikę św. Piotra, Muzeum w Watykanie, Zamek Anioła, Colosseum, Forum Romanum, Hiszpańskie Schody, fontannę Trevi. Zaprowadził nas do klasztoru, gdzie przez dziurkę od klucza można było zobaczyć bazylikę św. Piotra. Innego wieczoru poszliśmy do teatru zobaczyć operę "Tosca". Bawiliśmy się dobrze, aż pieniądze skończyły się.

Po powrocie do oddziału zastaliśmy batalion na froncie, ale tym razem w obronie. Krótki odpoczynek i znowu na front. Tak to życie płynęło monotonnie aż do początku marca.

Na początku marca objąłem obowiązki dowódcy 1-szej kompanii 16LBS. Byłem wtedy jedynym oficerem w kompanii. 4-tego marca 1945 r. wszyscy dowódcy kompanii 16LBS z przewodnikami zostali odwiezieni na front trzymany przez batalion Nowej Zelandii wzdłuż rzeki Senio. D-ctwo było w Casa Lumina. Stąd, przewodnik nowozelandzki odprowadził mnie i przewodników naszej komp. do odcinka

frontu trzymanego przez 1-szą komp. batalionu Nowej Zelandii.

D-ca 1-szej komp.nowozelandzkiego batalionu, w stopniu majora patrząc na mnie, mającego tylko jedną gwiazdkę, nie okazał dużego entuzjazmu. Poszedł do telefonu, a gdy wrócił przystąpiliśmy do wymiany informacji. Domyśliłem się, że może pomyślał, iż zaszła pomyłka. Może spodziewał się zobaczyć majora.

Najpierw przewodnicy zostali oprowadzeni po terenie i pokazani, jak i gdzie jutro przyprowadzić naszą kompanię do odebrania frontu. Nie znając angielskiego używaliśmy włoskiego. I tak dowiedziałem się, że na tym odcinku frontu zwyczaje są inne. Tu można było poruszać się tylko w dzień. Teren był płaski. Sady i winogrona zasłaniały widoczność. 300 m przed nami była rzeka Senio. W tunelach na wałach ochronnych tej rzeki, były stanowiska niemieckiej broni maszynowej. Niemcy, w nocy, strzelali ogniem koszącym co kilka minut. Dowiedziałem się również, że armia Nowej Zelandii ma wiele innych zwyczajów. D-ca tej kompanii w stopniu majora miał kapitana za swego zastępcę, trzech poruczników d-ców plutonów i trzech podporuczników ich zastępców. Gdy kapitan dowodził kompanią, to otrzymywał uposażenie majora. U nas tego nie było.

Po kolacji ktoś zasugerował bridge'a. Napisałem na kartce papieru angielskie nazwy do licytacji i mogę powiedzieć, że miałem dość przyjemny wieczór nie znając ani ludzi ani ich języka. Byłem zdziwiony i zdumiony, gdy po skończonej grze ordynans majora przyniósł mi piżamę i pościelił łóżko... Abyem mógł spać w łóżku, musiałem być rannym i w szpitalu. Nasze wymagania wygody i komfortu nie istniały.

Na drugi dzień po południu nasi przewodnicy przyprowadzili kompanię i zaczęło się odbieranie frontu. Pierwszy pluton pod dowództwem plut.Czesława Domagalika objął odcinek nowozelandzkiego 1-szego plutonu. Sierż.Adam Mazurk 2-go i podch.Aleksander

Milanowski 3-go.

Odchodząc na odpoczynek, zadowoleni Nowozelandczycy, życzyli nam wszystkiego najlepszego.

Po zorganizowaniu zmian obserwatorów, posterunków obronnych dziennych i nocnych i nawiązaniu łączności z lewym i prawym sąsiadem, życie nad rzeką Senio ułożyło się według znanych zwyczajów. Stało się trochę monotonne i nawet nudne.

Na terenie naszej kompanii nie było cywilów. Budynki, które zajmowaliśmy były nowoczesne i w dość dobrym stanie. O wiele lepsze od zabudów farmerskich spotkanych na południu Włoch. Chlewy i obory były z dala od domu mieszkalnego. W chlewie były dwie ogromne kadzie wina, jedna z białym, a druga z czerwonym. Dowiedziałem się o tym dopiero po kilku dniach.

Jednego dnia sanitariusz zapytał mnie, czy chciałbym się napić "Kakaówki". Myśląc, że to jest kakao, powiedziałem że tak.

Myślałem, że gardło mi się płomieniem zapali!! To był spirytus zmieszany z kakao. Mogłem również mieć "Czekoladówkę" lub "Kawówkę".

Jakiś cwaniak wykombinował metalowe rurki. Gotował wino i skraplana para dawała mu mocny alkohol.

Wiadomość ta dotarła do d-ctwa batalionu. Przyszedł rozkaz na piśmie, który musiałem podpisać, żeby pozbyć się wina. To był dzień wielkiej żałoby. Ale rozkaz jest rozkazem. Wezwałem podchorążego Milanowskiego, dałem mu rozkaz do przeczytania i powiedziałem, żeby pozbył się wina. Wieść rozeszła się szybko po kompanii i wszystkie bańki i butelki, jakie były, zostały napełnione. Milanowski wziął Thompsona i poszedł. Po chwili słyszeliśmy kilka serii Thompsona. Tyle wina popłynęło na ziemię.

Nie mając dużo roboty, zrobiłem plan rozmieszczenia plutonów, ogni maszynowych i naszych sąsiadów z mapy topograficznej, powiększając trzy razy. Dostałem kolorowe ołówki od radio-

telefonisty i nimi zaznaczyłem wszystkie niezbędne punkty. U dołu podałem dość dużą legendę.

Jednego popołudnia był telefon z informacją, że d-ca brygady płk. dypl. Witold Nowina-Sawicki przyjeżdża do 1-szej komp. na inspekcję. Od razu powiadomiłem d-ców plutonów, by nie byli zaskoczeni i szefa kompanii, który zawsze miał coś do roboty.

Pułkownik przyjechał łazikiem z kierowcą. Zaczęło się od ogólnego raportu. Potem pułkownik zadawał pytania o rozmieszczeniu plutonów, nawet drużyn, zobaczył naszą kuchnię, sprawdził wyposażenie sanitarne, kwatery dla śpiących w dzień i w nocy, nawet latrinę, pozostałą po Nowozelandczykach. Potem doszedł do wina. Chciał sprawdzić, czy rozkaz został wykonany w duchu i literze. Następnie zapytał, czy kompania potrzebuje jego pomocy w jakiegokolwiek dziedzinie? Czym on mógłby nam pomóc? Ktoś powiedział, że piłka nożna by się przydała. Dostaliśmy ją w następnym tygodniu. Załączone pismo z piłką było zaadresowane do ppor. Lachowskiego Kazimierza. Dlaczego? Może jakiś Łomżyński w d-twie brygady siedział z nim w więzieniu w Łomży i myślał że to on?!

Byłem zdziwiony jego sposobem pytań. W jego pytaniach nie było ani złośliwości, ani okazywania jego ważności. Były raczej pełne troski. Odchodząc zapytał, czy mam plan rozmieszczenia kompanii i jej sąsiadów. Gdy popatrzył na podany plan, powiedział z uśmiechem: "Taki plan po raz ostatni widziałem w Wyższej Szkole Wojskowej dla oficerów dyplomowanych".

17-tego marca nasz batalion został zluzowany przez 18LES i przeszedł na odpoczynek do Faenzy. Tu zostaliśmy zakwaterowani bardzo wygodnie w domach a nie w namiotach. W mieście zostało otwarte kino, kantyna dobrze zaopatrzona i mieliśmy polowe czołówki teatralne. Wszystko zapowiadało dobry odpoczynek. Nawet śnił mi się awans na porucznika na 3-go maja, bo uważałem

dwutygodniowy pobyt na froncie bez strat za duży sukces. Ale jednego dnia stały się trzy rzeczy, które zdecydowały o mojej przyszłości.

Rano odebrałem telefon od adiutanta batalionu informujący mnie że ppor. W. Piotrowski z 4-tej komp. obejmuje dowództwo 1-szej komp. z dniem dzisiejszym. To mi się wcale nie podobało, nawet bardzo nie podobało. Ale rozkaz jest rozkazem. Trudno było zrozumieć, dlaczego mogłem dowodzić kompanią na froncie, ale nie na odpoczynku do czasu powrotu właściwego dowódcy.

Przed samym południem otrzymałem list z Wielkiej Brytanii od Władzi Nowickiej, która była w Polskim Lotnictwie koło Nottingham. Jak w każdym liście znowu zasugerowała żebym próbował przyjechać do Wielkiej Brytanii, gdzie warunki służby są wielokroć lepsze od warunków, w jakich jestem.

Po kilku minutach ppor. Wincenty Piotrowski przyjechał by objąć dowództwo 1-szej kompanii. Przywiózł ze sobą rozkazy i okólniki batalionowe i brygadowe. Jeden z okólników brygadowych informował, że oficerowie ochotnicy są potrzebni na wyjazd do Wielkiej Brytanii do nowotworzącej się 4-tej Warszawskiej Dywizji Piechoty.

VI

Neapol - Stonehaven

Decyzja zgłoszenia mojej osoby na wyjazd do Wielkiej Brytanii zajęła pół sekundy.

Przed ofensywą na Bolonię powrócił do kompanii por. Jan Bębnowicz i objął dowództwo. Powrócił również por. Ignacy Grzenia. Obydwaj mieli do mnie wielką pretensję. Jak miałem bezczelność zgłosić się na ochotnika do odejścia z kompanii bez ich zezwolenia. Oskarżali mnie o dezercję. Mimo to nie miałem zamiaru wycofać się z powziętej decyzji.

Po zajęciu Bolonii ochotnicy i wyznaczeni oficerowie na wyjazd do Wielkiej Brytanii zostali odesłani początkowo do bazy Korpusu a potem do Neapolu. Po drodze zatrzymaliśmy się w Rzymie.

Jednym z wyznaczonych oficerów naszego batalionu był ppor. Włodzimierz Żołnierowicz, z którym się zaprzyjaźniłem. W Neapolu czekaliśmy kilka dni na zaokrętowanie.

Wojna w Europie się skończyła. Okręt był załadowany oddziałami brytyjskimi wracającymi do domu. Nasza grupa została umieszczona w rogu dużej sali, gdzie wielopiętrowe miejsca do spania były świeżo zrobione. Po przybyciu do Gibraltaru nasz okręt stał tu kilka dni. Można było widzieć Afrykę po lewej stronie a Hiszpanię po prawej. Było tu dużo okrętów różnych wielkości. Po opuszczeniu Gibraltaru nasz okręt płynął prosto na zachód w głąb Atlantyku.

W sali teatralnej były rozmaite gry, których nie rozumieliśmy. Czas płynął bardzo wolno. Nikt nie wiedział gdzie i kiedy wylądujemy. Gdy fale Atlantyku zaczęły rzucać okrętem doradzono nam położyć się, by uniknąć choroby morskiej. I tak było. Nie wymiotowałem ani razu. Dużo osób tego nie uniknęło.

W niedzielę rano 10-tego czerwca 1945 r. wyszedłem na pokład by się przejść. Zdziwiony zobaczyłem, że jesteśmy w porcie. Był to Liverpool. Na molo był duży ruch obsługi portu i personelu wojskowego. Słyszałem orkiestrę grającą marsze wojskowe. Doszedłem do wniosku, że przygotowywane jest wielkie powitanie. Po godzinie czasu pojawili się dygnitarze w perukach. Były przemówienia, orkiestra grała, cywile na molo klaskali w dłonie. Wielu żołnierzy i oficerów schodzących w dół na molo było witanych pocałunkami i uściskami.

Dla mnie to wszystko było obce. Na mnie nikt tu nie czekał.

Kara-Tu-Saj był tak daleko, ale w tym momencie również bardzo blisko. Przede mną znowu nowa podróż w nieznane.

Polski żandarm skierował naszą grupę do dużej wojskowej ciężarówki, która po "złej-lewej" stronie drogi dowiozła nas na stację kolejową. Pierwszą przyjemną niespodzianką było nasze zajęcie siedzących miejsc w wagonie 1-szej klasy. Dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Edynburga, stolicy Szkocji, skąd będziemy odwiezieni do tymczasowego miejsca postoju.

Przybyliśmy wczesnym popołudniem. Był piękny, słoneczny dzień. Znowu zostaliśmy dowiezieni do przejściowego obozu wojska polskiego koło miasta Whitburn, leżącego na zachód od stolicy przy głównej drodze Edynburg-Glasgow. Zakwaterowanie było w barakach z bieżącą wodą i ubikacjami czysto utrzymanymi. Na razie nikt nie wiedział, gdzie się skończy nasza podróż.

Z ciekawości zapytałem kancelistę, przy wpisie gdzie jesteśmy i jak można dostać się stąd do miasta. Powiedział, że do Edynburga można dostać się autostopem albo autobusem, za który trzeba płacić. Do miasta Whitburn można dojść piechotą, bo jest niedaleko. Na pierwszym skrzyżowaniu należy skręcić w prawo. Dziś wieczorem będzie zabawa taneczna w Sali Miejskiej, na którą warto pójść. Wiadomość tę przekazałem Żołnierowiczowi i reszcie naszej grupy. Nie mogliśmy się doczekać wieczoru, bo nie mając nic do roboty, było nam nudno. Inną nowością dla nas było to, że o godzinie 8-mej wieczorem słońce wciąż było wysoko i daleko do zachodu. Zaraz po 20-tej rozpoczął się wymarsz żołnierzy wszystkich stopni do miasta. Prawie wszyscy kierowali się do Sali Miejskiej.

Faktycznie, na pierwszy rzut oka, przyznałem słusność mojemu informatorowi, że warto było przyjść. Sala była już pełna. Panienki w letnich sukienkach, mające piękne fryzury, uśmiechnięte, tańczyły z polskimi żołnierzami. Cywilnych mężczyzn było zaledwie kilku. Po skończonym tańcu, panienki zbierały się po lewej stronie sali bliżej wejścia. Gdy orkiestra zaczęła grać

żołnierze półbiegiem, spieszyli się, by poprosić do tańca tę panienkę, która mu się podobała, zanim zabierze ją ktoś inny. Obserwowałem salę długi czas, zanim nabrałem odwagi i poprosiłem ciemnowłosą, wysoką panią. Nie wiedziałem, że to był "odbijany" i byłem przyjemnie zdziwiony gdy wysoka, szczupła, też ciemnowłosa panienka odbiła moją partnerkę. Od razu zaczęła rozmowę, której nie rozumiałem. W końcu powiedziała po polsku: "Ja cię kocham a ty śpisz". Zamiast odpowiedzi przycisnąłem ją mocniej do siebie, co się jej spodobało. Po skończonym tańcu poprowadziła mnie za rękę do pary składającej się z Polaka w cywilu i jej starszej siostry. Od tej chwili trzymała mnie za rękę do końca zabawy. Potem idąc do jej domu aż do pożegnania i umówienia się na środę w Sali Miejskiej.

Wracając do obozu przebiegłem w myśli wypadki dzisiejszego dnia, od lądowania w Liverpool do przyjazdu do Edynburga i do odprowadzenia Szkotki z zabawy do domu i umówienia się na środę. To był mój pierwszy dzień w Wielkiej Brytanii 10-czerwca 1945 r., jeden z najprzyjemniejszych dni w moim życiu od wyjazdu z Łomży 20-tego czerwca 1941 roku.

W środę 13-tego czerwca rano nasza grupa została poinformowana żeby przygotować się do wyjazdu. Po kilku godzinach jazdy wojskową ciężarówką, pokrytą blandeką, bez możliwości oglądania krajobrazu i braku powietrza, dostałem ataku migreny. Gdy w końcu zatrzymaliśmy się, nie interesowałem się, czy to już koniec podróży czy tylko przystanek. Nie wiedziałem, gdzie jesteśmy. Za chwilę przyszedł do samochodu kapitan i oznajmił, żebyśmy pojedynczo przyszli do dowództwa 4-tego Warszawskiego Batalionu Strzelców na krótką rozmowę. Gdy wysiadłem z samochodu, czułem straszny ból głowy.

Moja rozmowa z majorem, niskiego wzrostu, palącego papierosa za papierosem w cygarniczce, składała się z jego pytań i moich

odpowiedzi. Wróciłem do samochodu i czekałem, aż ostatni oficer wróci z rozmowy.

Ten sam kapitan wrócił i odczytał nazwiska oficerów, którzy mają zejść z samochodu i zabrać swój bagaż.

Dopiero teraz zauważyłem wielkość budynku, w którym mieściło się dowództwo. Był to 5-cio-piętrowy hotel pod nazwą "Bay Hotel". W holu kapitan przedstawił się nam jako Emil Rzechorzek, adiutant d-cy bat. majora Maciejowskiego i powiedział, że tu się kończy nasza podróż i w tym hotelu zamieszkamy. Ppor. Henryk Kopieli, ppor. Józef Tuczapski i ja zostaliśmy przydzieleni do dużego pokoju z 3-ma pojedynczymi łózkami, o jedno piętro wyżej. Po ulokowaniu się mieliśmy zejść na parter gdzie był salon, jadalnia i bar oficerski. W czasie posiłku dowiedziałem się że to miasto nazywa się S T O N E H A V E N /ston hewen/. Jest stolicą hrabstwa Kincardine /województwo/ i ma około 5 tys. mieszkańców. Jest miastem letniskowym i rybackim. W lecie przybywa tu 5 tys. urlopowiczów przeważnie z Glasgowa na dwutygodniowy pobyt.

Z jadalni przeszliśmy do baru. Salon, duży pokój, z fotelami wokół ścian, miał olbrzymie okno /Bay window - zatokowe okno/. Widok z tego okna był naprawdę wspaniały. Domy w dół do samego morza, duża zatoka i port - to wszystko tworzyło piękny obraz.

Była środa 13-tego czerwca 1945 r. Tego dnia nawet nie pomyślałem, że będę tu mieszkał przez następne 47 lat.

W czwartek zostałem mianowany dowódcą 1-go plutonu 3-ciej kompanii, której d-cą był por. Mieczysław Guzewski /mój przyszły starszy drużba/, który wrócił ze Szwajcarii, gdzie był internowany przez cały czas wojny. Por. Guzewski mieszkał w Queen's Hotel przy głównej ulicy /Allardyce ./. Tu też była kancelaria 3-ciej komp. Żołnierze byli zakwaterowani w budynku naprzeciw Queen's Hotel, gdzie kiedyś był młyn.

Po południu obejrzałem port i resztę miasta. Przy plaży był ogrzewany basen, korty tenisowe, skrócony golf i sala teatralna. Dalej na północ, przy drodze do Aberdeen, było duże pole golfowe. Dowiedziałem się, że jest tu 10 hoteli, każdy mający dwa bary i dużo innych barów i pensjonatów.

Największą atrakcją dla letników były dancingi w Sali Miejskiej. Była duża większa od sali w Whitburn, miała kinowe siedzenia wokół ścian. Na scenie grała hawajska orkiestra piękne, sentymentalne melodie. Po każdym tańcu panie wracały do lewej strony sali, a panowie do prawej, tak jak w Whitburn.

Siedząc niedaleko sceny po prawej stronie sali, oglądałem, podziwiałem i uczyłem się zachowania tańczących. Ponad tylną częścią sali był balkon z siedzeniami. Podobno dla matek.

Przysiadł się do mnie kancelista z dowództwa i w rozmowie poinformował, kto był kim na sali. Większość oficerów była w mundurach wyjściowych /którego ja nie miałem/ i miała lekkie pantofle, a ja ciężkie wojskowe buty. Kancelista podał mi nazwiska oficerów, ich przydziałów służbowych, z kim kto trzyma towarzysko. Potem przeszliśmy do pań. On znał prawie wszystkie. Ta pracuje na poczcie, ta w autobusach, ta w biurze, w sklepie itd, itd.

Późnym wieczorem pojawiła się na sali wysoka, szczupła blondynka w różowawej sukience z dość dużym dekoltem, z pasem związanym w tyle na kokardkę. Zdawała się być wstydliwą, trzymającą dystans od swego partnera w tańcu. Gdy zapytałem o nią, kim ona jest, to odpowiedział, że właścicielką pensjonatu, bardzo bogata i zna trochę język francuski.

W moim mózgu zaczęły dzwonić dzwony, nawet duże dzwony. /Szczęśliwie inne niż na Monte Crosso/. Czasami widziałem ją w każdym tańcu, czasami gubiłem ją, bo był olbrzymi tłok. Czując się niewygodnie, ubrany w stary battledress i ciężkie buty nie miałem odwagi poprosić ją do tańca.

To samo było w piątek następnego dnia. W tłumie ukazywała mi się jak duch..teraz ją widzę.. teraz nie..

W sobotę wieczorem w kasynie miałem dwie duże whisky i zdecydowałem się na akeję. Długo czekałem na jej przybycie. Moja pierwsza próba, aby poprosić ją do tańca, nie udała się. Za trzecim razem w przerwie między tańcami poszedłem do tyłu sali, gdzie się panienki zbierały i stanęłem blisko niej.

W trzecim okrążeniu sali zapytałem:"

"Parlez vous francais, Mademoiselle?"

"Seulement un peu" zaskoczona odpowiedziała.

" Je m'appelle Stanislas, comment vous appelez vous?"

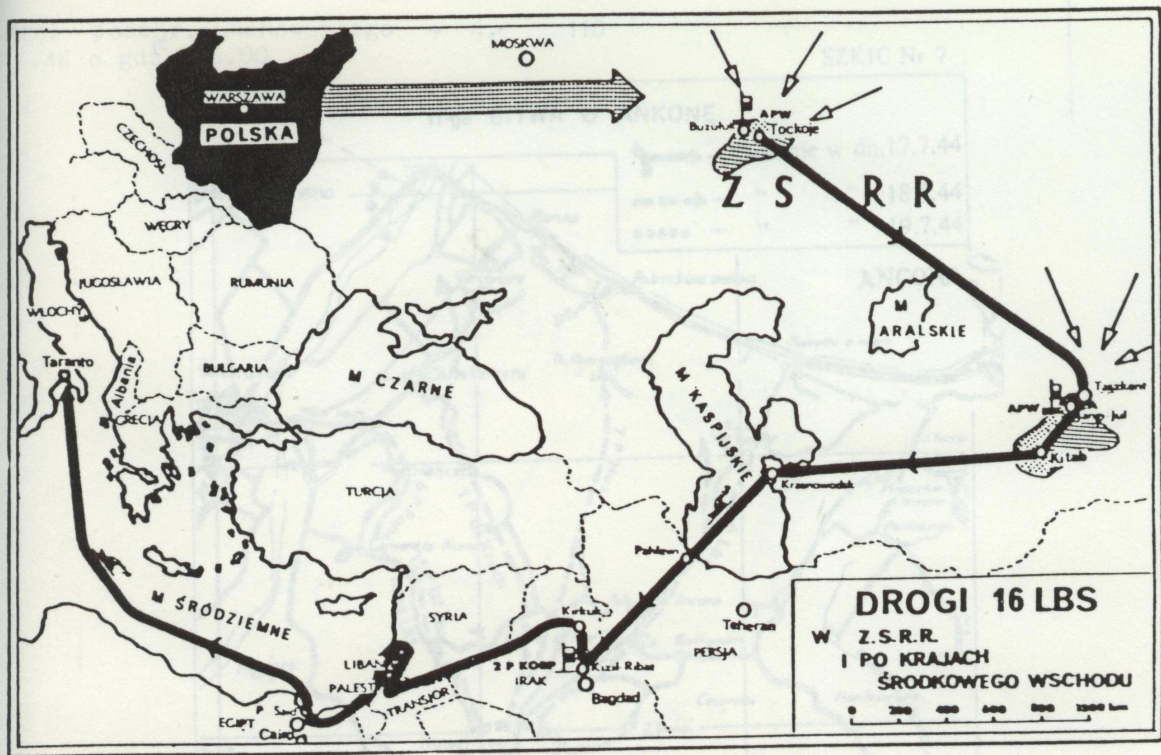
" Je m'appelle Elizabeth" odpowiedziała.

To była sobota 16-tego czerwca 1945 roku, historyczna sobota w moim życiu. Trzymając ją za rękę, po skończonym tańcu... trzymałem jej rękę do końca zabawy... w czasie krótkiego spaceru do jej domu... do umówienia się na jutro ... do 16-tego października 1947 roku, naszego ślubu ... do dnia dzisiejszego....
wychowaliśmy troje drogich, uroczych dzieci - córkę i dwóch synów.

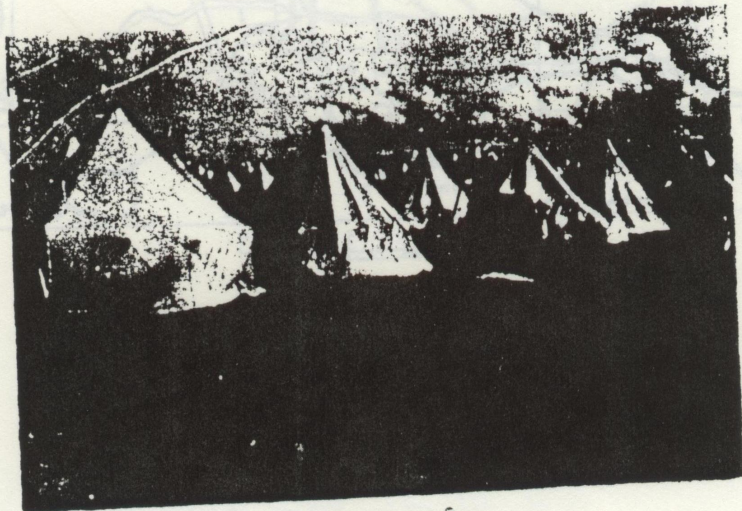
Moja rodzina Lachowskich wróciła do Polski ze Związku Radzieckiego w 1946 r.

Ostatnio, z pomocą pana Czesława Nicewicza z Łomży, udało mi się odnaleźć założyciela rodziny Lachowskich. Był nim Jan Rzyczski, który otrzymał wieś L A C H O W O od ks.Bolesława IV w roku 1424.

Mogę powiedzieć, że nawet nie mając tak olbrzymich posiadłości, jakie mieli moi przodkowie, moje życie było bardziej urozmaicone. Od 1950 roku żyłem, w porównaniu z życiem moich przodków, w wygodzie, w komforcie bez wielkich trosk o jutro. Zwiedziłem bezpłatnie Europę, Środkową i Południową Azję,

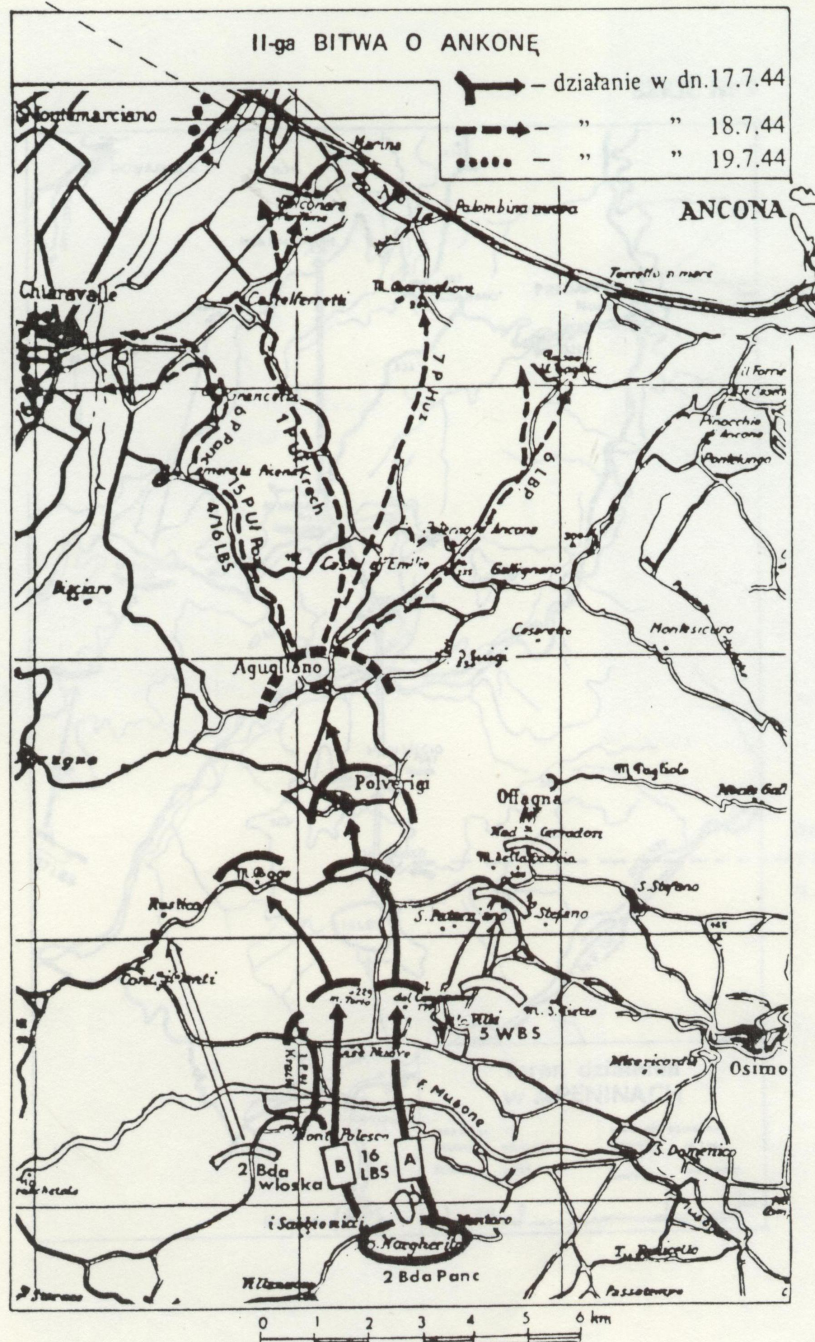


Zdjęcia i tekst z Kroniki 16 Lwowskiego Batalionu Strzelców. Strona 40 i 41



Obóz w Pahléwi

27.8.1942. Budzimy się nad ranem dobrze wypoczęci i pokrzepieni snem. Przecieramy oczy i wierzyć się nie chce „najprawdziwszej rzeczywistości” . . . Czary, sen, czy zjawy? . . . Oto na piaszczystych wydmach wybrzeża, tuż za naszymi namiotami wyrosło, jak wbaśni z tysiąca i jednej nocy istne morze straganów, stolików i stołów, pełnych najróżnorodniejszych towarów, począwszy od smakowicie przyrządzonych artykułów spożywczych — do najwyszukanysz



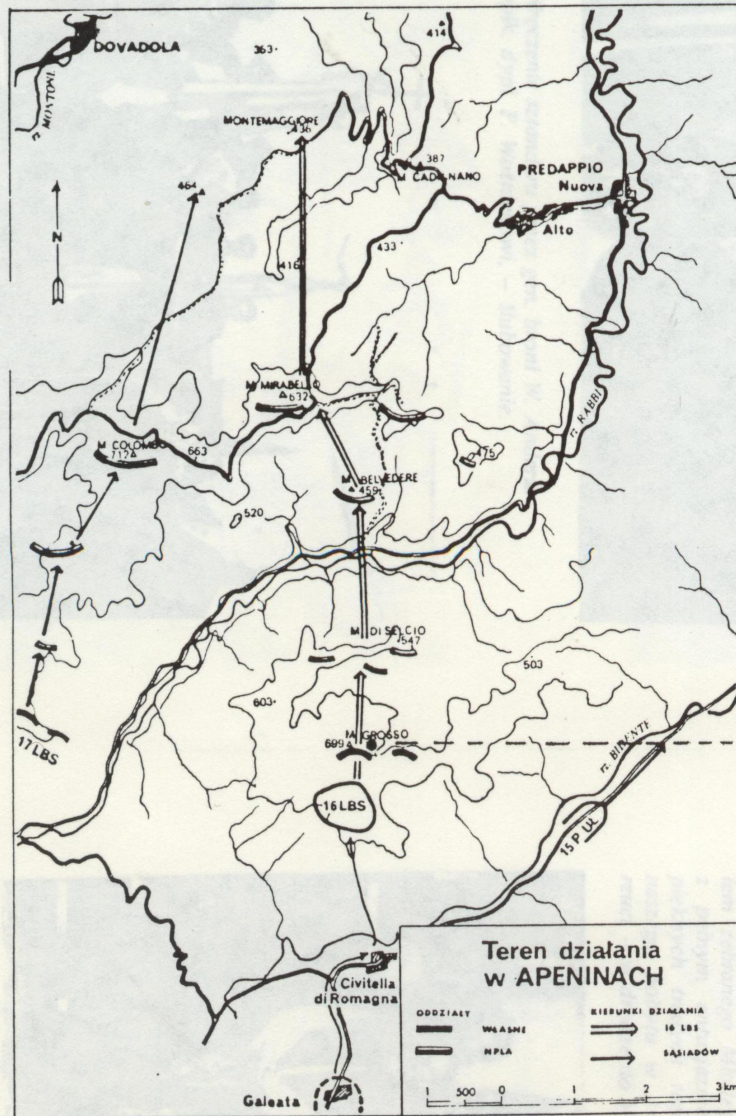
B. Awanse

Pan Prezydent R. P. awansował z dniem 1. 11. 44 za czyny bojowe do stopnia kapitana :

- s.p. por. Ley Waldemar
- por. Deiholos Tadeusz
- por. Zglinnicki Aleksander

Do stopnia po podporucznika

- | | | | |
|----------------|---------------------|-----------------|-------------------------|
| plut. podchor. | Barczak Franciszek | kapr. podchor. | Lachowski Stanisław |
| plut. podchor. | Dryja Stanisław | plut. podchor. | Matyszczak Czesław |
| kapr. podchor. | Dziadkiewicz Marian | plut. podchor. | Milczanowski Franciszek |
| plut. podchor. | Jarecki Tadeusz | sierz. podchor. | Toporowski Stanisław |
| kapr. podch. | Jankowski Antoni | | |



podchor. Lachowski S.
ranny 16.10.44
o godz. 9.20

11.11. Święto odzyskania Niepodległości. W czasie uroczystości w Vittorio Veneto – d-ca dyw. gen. Bryg. Sulik N. udekorował Krzyżem Walecznych następujących żołnierzy baonu:

- | | |
|------------------------------|-------------------------------|
| kpt. Tabor Jan | kpr. Potrykus Alojzy |
| ppor. Lachowski Stanisław | strz. Przygocki Bernard |
| strz. Bielecki Stanisław | strz. Rakowski Wincenty |
| strz. Boguszewicz Marian | strz. Rycz Stefan |
| kpr. Bulej Mikołaj | st. strz. Sadowski Eugeniusz |
| strz. Czarnogas Stanisław | strz. Sawko Jan |
| kpr. Czerniawski Stanisław | st. strz. Scibor Waclaw |
| kpr.pchor. Daczkowski Jerzy | st. strz. Serwadczak Józef |
| st. strz. Duńczyk Tadeusz | st. strz. Sołtysik Franciszek |
| st. strz. Głuszek Józef | plut. Stankowski Roman |
| st. strz. Holesz Gustaw | kpr. Strama Władysław |
| st. strz. Kukielka Stanisław | plut. Strzelczyk Jan |
| strz. Leszczewicz Jan | strz. Szymura Józef |
| strz. Madeja Ludwik | kpr. Urbański Bolesław |
| strz. Michalak Franciszek | st. strz. Witaszek Roch |
| strz. Nowaczyk Czesław | strz. Wilczewski Edmund |
| strz. Parulski Jan | strz. Wiśniewski Wincenty |
| st. sierz. Paluch Władysław | st. strz. Wolny Józef |
| st. strz. Polap Maksymilian | strz. Żurawski Józef |
| kpr. Polski Stanisław | |

Ogień npla słabnie. Wysłany o zmierzchu patrol pchor. Łapy A. stwierdza, że npl opuścił wzgórze. Pluton z 2-ej komp. obsadza M. di Selcio.
Nacierające kompanie poniosły następujące straty:
1 komp. – ranni: kpr. podch. Lachowski, s. strz. Sawicki J. i kpr. Skibiński J.
2 komp. – zabity strz. Koczar A., ranny st. strz. Godlewski L. (obaj od ognia strzelców wyborowych).



Wreczenie sztandaru przez gen. broni W. Andersa
ppłk. dypl. P. Woźniakowi, — ślubowanie.



Przemówienie.

Wież, która nas łączyla na szlaku naszej wędrówki przetrwała po dzień dzisiejszy. Młode pokolenie szesnastaków nie sprawiło zawodu „starym”. Bierze dziś czynny udział w życiu Kola, przejmując na siebie zaszczytną rolę ambasadorów sprawy polskiej w środowiskach, gdzie kształci się lub pracuje.

A oto przemówienie 19-letniego studenta Uniwersytetu Londyńskiego, Andrzeja Woźniaka, który na towarzyskim zebraniu Kola Zolnierskiego 16 LBS, w przeddzień wreczenia i dekoracji Sztandaru, powiedział:

„Pragnę zabrat głos w imieniu obecnego tu Młodego Pokolenia Szesnastaków i serdecznie podziękować Wahemu Zebranu 16 LBS za podjęta, na dziśjszym zebraniu uchwałę zgodnie z którą — na mocy paragrafu 5 Statutu Kola — stajemy się jego członkami. Jutrzejszą uroczystość napawa nas radością i dumą, że Sztandar Oddziału naszych Ojców zostanie udekorowany najwyższym odznaczeniem bojowym Orderem Virtuti Militari. Sądzę, że będę wyraziścielem z pełnym entuzjazmem podjęliśmy pracę nad kontynuowaniem pięknych tradycji tego dzielnego Oddziału — nie tylko w czasie naszego pobytu w Anglii — lecz gdziekolwiek los przyszłości nas rzuci — w drodze do Wolnej Polski i do Lwowa!”



W towarzystwie gen. W. Andersa, kł Biskupa W. Rubina,
i prof. dr. S. Ostrowskiego stoją byli dowódcy baonu: od lewej:
pułk. A. Stachczyk, pułk. dypl. P. Woźniak, pułk. Z. Szafrański i pułk. W. Latawiec.



Tu „Zagrobę” spotkało niepowodzenie, – uszkodzony na minie.



D-ca 3 komp. ze swymi podkomendnymi odwiedza teren bitwy nad rz. Sillaro.

Do baonu nadchodzi wiadomość, że w godzinach rannych dn. 21.4.1945. wojska polskie i amerykańskie wkroczyły do Bolonii. Dalsze działania batalionu zostały zatrzymane rozkazem d-ty 6 L.B.P., dotarliśmy bowiem do granicy działania 5-ej Armii Amerykańskiej.

Dla 16 Lwowskiego Batalionu Strzelców dzień 21.4.1945 jest ostatnim dniem walki na ziemi włoskiej w II-ej wojnie światowej.

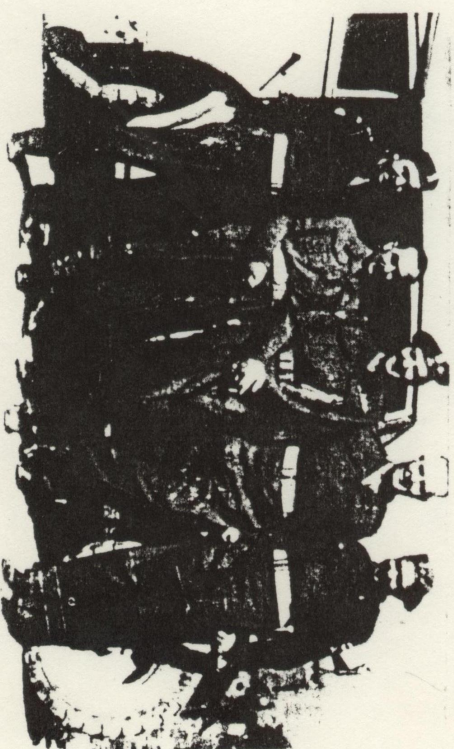
Dnia 22.4.1945. o godz. 14.00 16 LBS wraz z całą 6 L.B.P. został wycofany z akcji i przeszedł na odpoczynek do rejonu położonego 6 km. na północ od m. Castel S. Pietro.

* * *

Żołnierz 16 LBS w całej kampanii włoskiej wykonał wszystkie nakazane mu zadania bez reszty. A jak wynika, choćby z pobieżnej analizy opisanych bitew, zadania te wykonał baon niejednokrotnie z nadlatkiem.

W stoczonych bitwach baon zadawał nieprzyjacielowi często poważne straty, które, ze zrozumiałych względów, są nieuchwytnie i w opisach walk przeważnie zostały pominięte. Natomiast ilosc jeńców nieprzyjaciela wziętych przez 16 LBS w całości urasta do stanu przeciętnego baonu.

Jedną z chwalebnych cech 16 LBS, zasługujących na podkreślenie, jest fakt, że w ciągu całej kampanii włoskiej nie oddał on ani jednego jeńca w ręce wroga.



Gen. bryg. K.Rudnicki, przed wyjazdem do 1. Dyw. Panc., z wizytą pożegnania u swych podkomendnych dowódców. Stoja od lewej: d-ca 17 – kpr. L.Kordas, d-ca 16 – ppłuk. dypl. P.Woźniak, z-ca d-ty 5 KDP – gen. bryg. K.Rudnicki, d-ca 6 L.B.P. – pułk. dypl. W.F.No-wina-Sawicki, d-ca 18 – ppłuk. A.Florowski.